



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGLOSZY

ROK XX NR 21 (1015)
22 MAJA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



KULTURA

JAN BABIŃSKI

CO KTO CZYTA?

Adam Naruszewicz tak niegdyś wyrzekł na nikle zainteresowanie książką:

- Każdy mówi, iż nie ma czasu do czytania.
- Każdy się swą zabawą do książki zasłania.

Można by te słowa zrozumieć dwójako. Albo nasi przodkowie zagonieni pracą ponad siły istotnie głowy do czytania nie mieli. Albo, co jest bardziej prawdopodobne, woleli zabawę zamiast czytania. Zatem pograć w karcia, węgrzyną wychylić, w kuli ruszyć do sąsiadów, na łów śmignać w niedostępne bory. Tyle życia co użycia. Czytania książek nie traktowano wówczas jako rozrywkę i odprężenie. Raczej skłaniano się do sądu, że jest to zajęcie trudne i zawile. Książka nie każdej głowie była dostępna.

A teraz?

W miejskim województwie łódzkim, przeto w Łodzi z przyległościami, czynnych jest obecnie 58 księgarń „Domu Książki”. Są to sklepy małe i duże, kierowane ręką fachowca, sprężyste i takie sobie... byle do jutra. Dobrą księgarnię poznać po witrynie. Biegły księgarz wie, czym klienta zwabić i zachęcić do kupna. Wie, co wyłożyć i jak to podać. Dlatego „chapeau bas” przed witryną księgarni „Pegaz” przy Piotrkowskiej. To jest właśnie to. To jest właściwy interes we właściwych rękach.

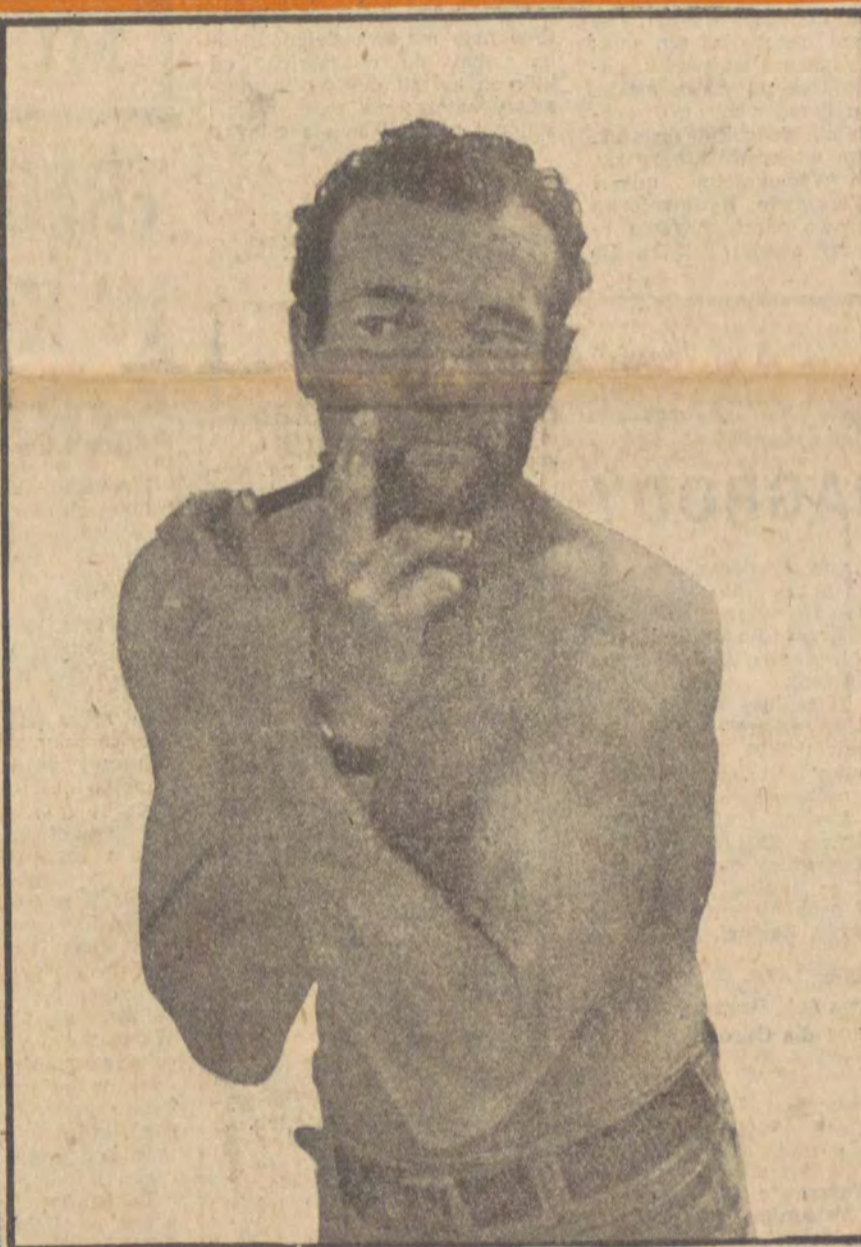
Przypuszczalnie wszystkie te placówki „Domu Książki” zrobią w tym roku obroty przewyższające 240 mln. złotych. W roku zeszłym sprzedano w Łodzi książek za 225 mln. zł. Wzrost jest. Tyle, że minimalny. O zawrót głowy nikogo przyprawić by nie mógł. Jest to przede wszystkim wzrost wartościowy. Wiadomo, co się za tym kryje. Wyższa cena? Oczywiście. Towaru można niekiedy sprzedać nawet mniej, a obroty porobić wyższe.

Dalszy ciąg na str. 8

DLA NAS I DLA DOMU

Jacek Indelak

postojowe wizametu



Czytaj na stronie 5

BOGDA MADEJ

POMIDORY i PASKI KLINOWE

Kończył się kwiecień, a w sklepach nadal nie było pomidorów. Ogórki dawno już się pojawiły. Zdążyły nawet stanąć, a pomidorów nie było. A

ponieważ bardzo miałam ochotę na wczesnego, wiosennego pomidora, postanowiłam sprawdzić, dlaczego są w tym roku spóźnione? Gdzie się

można o tym dowiedzieć? Oczywiście u ogrodników.

Dalszy ciąg na str. 5

NAUKA

PAWEŁ PATORA

NIE TYLKO PRZECIWIW STONCE

Pierwsze w Polsce ogniska stonki ziemniaczanej zauważono na terenie Suwałk w roku 1878, ale prawdziwa inwazja tych groźnych pasożytów na pola naszego kraju nastąpiła po II wojnie światowej. Zastosowanie DDT oraz podobnych preparatów owadobójczych z grupy węglowodorów chlorowanych wydawało się radykalnie rozwiązywać problem walki ze stonką.

Niestety, radość z korzystnych efektów działania DDT szybko minęła. Stwierdzono bowiem trwałemu kumulowanie się tego trującego pestycydu w tkankach organizmów żywych, także człowieka spożywającego plody pól obficie obsypanych „cudownym” preparatem. Na domiar złego, z biegiem czasu malała skuteczność DDT, gdyż organizm stonki coraz bardziej uodporniał się na jego działanie. Wycofanie omawianych preparatów stało się koniecznością.

Na całym świecie podjęto wówczas intensywne poszukiwania naukowe, które miały doprowadzić do otrzymania skutecznych środków stonkobójczych, pozbawionych niekorzystnych cech DDT. W 1966 roku zanotowano pierwsze poważne osiągnięcie: Międzynarodowy konserw chemiczny Shell International Petroleum Co. wprowadził do obrotu handlowego szybko rozkładający się w glebie i środowisku naturalnym preparat fosforoorganiczny o nazwie „Birlane” (chlorfenwinfos). Wystarczy zastosować 250 do 375 gramów substancji czynnej na hektar upraw, aby w stu procentach zwalczyć stonkę we wszystkich jej stadiach rozwojowych. Oznacza to kilkakrotnie wyższą skuteczność od wcześniej znanych środków.

Jednak i „Birlane” ma poważną wadę — jest nią wysoka toksyczność dla organizmów stałocieplnych, m.in. dla człowieka. Chlorfenwinfos zaliczany jest, według klasyfikacji opracowanej przez Światową Organizację Zdrowia, do I klasy trucizn.

W połowie lat 60-tych również w Polsce podjęto próby otrzymania skutecznych substancji stonkobójczych. W jednej krajowej placówce, kompleksowo zajmującej się badaniami związków fosforoorganicznych — Katedrze Chemii Organicznej Politechniki Łódzkiej, ściśle współpracującej z Zakładem VI Związków Heteroorganicznych PAN, uczeni prowadzili wówczas prace w dwóch kierunkach. Próbowali odtworzyć syntezę

Dalszy ciąg na str. 6

ŚWIĘTO KSIĄŻKI

Rewelacji nie było, ale jestem pewien, że każdy kto raz do roku przeznacza dzień dla książki, przywiązał się do corocznej tradycji i tym razem zadowolony uczynił majowemu zwycięstwu. Mimo kiepskiej pogody (pierwszego dnia) a dzięki słońcu (drugiego dnia) marszruta świątecznego spaceru wielu ludzi nie ominęła parku im. Sienkiewicza.

Jak poinformowała mnie przedstawicielka działu reklamy łódzkiego „Domu Książki” — Krystyna Wołoszynowa, obroty na kiermaszu wyniosły ok. 670 tys. zł za wydawnictwa i ponad 100 tysięcy złotych za loterię. Słowem, w ciągu dwóch dni rozdanie wydało na książki prawie 800 tys. zł. To dużo czy mało? Mniej niż w ubiegłym roku. A przyczyna? Przede wszystkim zła pogoda pierwszego dnia. Niemniej koszty imprezy (ok. 200 tys. zł) zostały zwrócone. Mimo bowiem, iż sami księgarze nie lubią określać (ani traktować) książkę jako „towarowej masy” pamiętajmy, że przecież kiermasz jest imprezą handlową, imprezą „pod klienta”.

Na tegorocznym kiermaszu zgromadzono ok. 5 tys. tytułów. „Dom Książki” zaopatrzył 30 stoisk w bardzo szerokim zakresie: od literatury pięknej przez wydawnictwa społeczno-polityczne, literaturę techniczną, naukową, oświatową. Książki radzieckie aż do wydawnictw turystycznych, map, płyt, literatury młodzieżowej. Wielkim powodzeniem cieszyły się na kiermaszu najtańsze obecnie książki — tomiki z serii „Kolibra” za złotówkę albo 50 groszy od sztuki. Sprzedano ich za 6 tys. złotych.

Obecność stoiska Wydawnictwa Łódzkiego świadczy o or-

ganizatorzy z troszczyli się o prezentację dorobku łódzkiego środowiska piśmiennego. Ale ambicją księgarzy było pokazanie również tych tytułów, które łódzcy autorzy wydają poza WL, a jest to praktyka coraz częstsza. Pomysł to godny kontynuacji. 15 łódzkich autorów miało więc co podpisywać.

Podziękowanie należy się więc łódzkim księgarzom, którzy po pierwszym dniu kiermaszu pakowali książki solidnie wyczerpani panującym zimnem i deszczem, oraz literatom, którzy powracali z „dyżurów” zziębnięci. Ale kaprysy pogody to jeszcze nie poważnego w porównaniu z niewesołymi i różnymi względami perspektywami, które grożą majowemu „Świętu Książki”.

Bo oto powiadają księgarze: dolażyliśmy wszelkich starań, aby w ciągu ponad 30 lat istnienia Polski Luźowej rozpropagować książkę w jak największym kręgu społeczeństwa. Wypełniliśmy chyba dobrze to zadanie. Dowodem — choćby frekwencja na kiermaszach. Ale co dalej? To jest dla nas bardzo przykre, że coraz częściej musimy — na widok czytelnika pytającego o poczytną, poszukiwaną książkę — rozkładać bezradnie ręce. Coraz rzadziej możemy zaspokoić nieprzerwane, podstawowe potrzeby: na encyklopedię, leksykon PWN...

Powód takiego stanu jest prosty, od paru lat ten sam: maleją zapasy surowców, nakłady książek są coraz niższe. A żadna firma z myślą o kiermaszach nie dodrukuje książek. Poza tym większość krajowych, wielkich wydawnictw mieści się w Warszawie. Wydawnictwo ma prawo zatrzymywania egzemplarzy swojej książki. Do

własnego użytku. Głównie przeznaczają je na kiermasz (centralny), na którym ma osobne stoisko. Te preferencje odbijają się, rzecz jasna, na liczbie egzemplarzy docierających do innych miast.

Poza Warszawą księgarze utrzymują książki. Scagają je z półek i lad — z przeznaczeniem na kiermasz. Choć wiadomo, że z handlowego punktu widzenia kiermasz nie jest zbyt opłacalny, tzn. te same tytuły (nie mówiąc już o bestsellerach) równie łatwo, a nawet łatwiej (i szybciej) można sprzedać po prostu w księgarniach.

Osobny problem z lokalizacją kiermaszu. Raz jeszcze w tym roku udało się organizatorom uzyskać zgodę na tradycyjne, piękne miejsce w parku im. Sienkiewicza. Chwała za to władzom miasta i opiekunom parków Łódzkiem Przedsiębiorstwem Ogrodniczym. Przed kiermaszem gazety apelowały o to, „by w pogoni za bestsellerem dostrzec i nie zniszczyć urrody popularnego parku”. Także organizatorzy zrobili wiele, żeby trawki i ścięgła od zdeptania i śmieci uchronić.

Chodzą jednak słuchy, że już w przyszłym roku będziemy oglądać książki na betonie: przed Teatrem Wielkim czy wręcz na pl. Barlickiego, przywykłym wręcz do handlu jabłkami, selerem i mięsem. Tradycja zaś i względy propagandowe nakazują, aby dla książek tłem była majowa zielen. Prośba zatem do wszystkich, od których kształt przyszłych kiermaszy zależy: nie przerywajcie zielonej tradycji święta książki!

TOMASZ SOLDENHOFF

RELACJE

JUBILEUSZ I NAGRODY

Jak informowała o tym codzienna prasa, a także, jak wspominaliśmy w poprzednim numerze „Odgłosów”, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch” obchodziła w tych dniach 30-lecie swego istnienia. W Łodzi uroczystości jubileuszowe odbyły się 13 maja 1977 r. w Klubie Dziennikarza, a udział w nich obok pracowników RSW „Prasa — Książka — Ruch” wzięli również: I sekretarz KL PZPR — Bolesław Koperski, sekretarz KL PZPR — Zbigniew Faliński, I wiceprezydent miasta Łodzi — Jan Morawiec, wiceprezes Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Edmund Król, delegacje instancji partyjnych z województw Piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego z I sekretarzem KW PZPR w Sieradzu — Tadeuszem Stasiakiem oraz delegacja Wydawnictwa Prasowego „Freie Presse” z Karl-Marx-Stadt.

Dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Piotr Sagan w przemówieniu okolicznościowym omówił dorobek wydawniczy i zamierzenia Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

I sekretarz KL PZPR — Bolesław Koperski składając gratulacje jubilatowi przypomniał czas, w którym pracując w dzisiejszych LZPB „Uniotex” po raz pierwszy zetknął się z koleopterami prasy partyjnej, wydawanej przez rozpoczynającą przed 30 laty działalność Robotniczą Spółdzielnię Wydawniczą oraz przedstawił rezultaty 30-letniej działalności prasowej i jej wpływ na rozwój społeczny i gospodarczy Łodzi i regionu.

W czasie jubileuszowych uroczystości zasłużeni pracownicy otrzymali nagrody i odznaczenia. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Natalia Adamczewska (LWP), Eugeniusz Kudaj („Express Ilustrowany”), Wiktorija Mikołajew (LWP), Teresa Wojciechowska („Karusela”). Poza tym 9 osób otrzymało Złote Krzyże Zasługi i 19 osób Srebrne Krzyże Zasługi, a wśród nich pracownica redakcji „Odgłosów” — Janina Lason. Ponadto 7 osób otrzymało Brązowe Krzyże Zasługi.

Dyrektor LWP — Piotr Sagan otrzymał Brązowy Medal za Zasługi dla Obronności Kraju.

W Warszawie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich również 13 maja 1977 r. rozdano doroczne nagrody dziennikarskie. Wśród nagrodzonych znaleźli się łódzcy dziennikarze: I nagrodę Klubu Dziennikarzy Depeszywych otrzymali Marian Bańbura i Aleksander Batorowicz z „Głosu Robotniczego”, II nagrodę Klubu Dziennikarzy Naukowych otrzymał Krzysztof Turowski z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

W tych dniach rozstrzygnięto dwa konkursy literackie, zorganizowane w ramach Łódzkiej Wiosny Artystycznej. W konkursie na utwór dramatyczny jury pod przewodnictwem prof. Stanisława Ka-

zyńskiego ze względu na wyrównany poziom przyznało pięć równorzędnych wyróżnień.

Otrzymał je: Ryszard Adamów z Legiony za utwór pt. „Bankiet ku czel rostrzemiennych”, Anatoliusz Lis-Jamiński z Lublina za utwór „Sprawa Izzy”, Jerzy Lesław Ordan z Torunia za utwór „Małe przyjęcie”, Stanisław Owoc z Poznania za utwór „Taka blaha sprawa” oraz Krystyna Szłaga z Krakowa za utwór „Mielizna”.

Na konkurs nadesłano wiele prac z całego kraju, niestety ujawnił on też bardzo małe zainteresowanie dramatem w łódzkim środowisku piśmiarskim. Rozstrzygnięto także konkurs na reportaż o Łodzi. Jury pod przewodnictwem Wiesława Jazdzynskiego przyznało dwie II nagrody reportażom Konrada Turowskiego i Mirosława Kuźniaka. Dwie III nagrody otrzymali: Tadeusz Gigier i Jerzy Urbankiewicz, zaś wyróżnienie Konrad Freidlich.

Podczas ubiegłorocznego festiwalu poezji nagrodę za tom wierszy „Krew i czekolada” przyznał Mirosławowi Boruszewskiemu.

Wydawnictwo Łódzkie postanowiło wydać książkę z nagrodzonymi wierszami na następna Wiosna Artystyczna.

W ub. poniedziałek miłym akcentem uroczystości wręczenia nagród za tegoroczne konkursy było także wręczenie przez dr. Tadeusza Błażewskiego, kierownika redakcji literatury pięknej WL tomu wierszy pt. „Krew i czekolada” Mirosławowi Boruszewskiemu, laureatowi festiwalu z ub. roku.

NAGRODY WOJEWÓDZTWA SIERADZKIEGO

Komisja Nagród Województwa Sieradzkiego informuje, że Wojewódzka Rada Narodowa w Sieradzu przyznaje corocznie pięć Nagród Województwa Sieradzkiego. Nagrody przyznawane są za:

— osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury, a w tym za rozwój amatorskiego ruchu artystycznego, upowszechniania twórczości ludowej, organizowania i rozwijania społecznych form pracy kulturalno-oświatowej;

— prace twórcze i popularyzatorską w dziedzinie literatury i publicystyki, muzyki, plastyki;

— wybitny wkład pracy naukowej w rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny regionu, a w szczególności za wprowadzanie w życie rezultatów i wyników badań naukowych;

— wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki, racjonalizacji i wynalazczości służące rozwojowi społeczno-gospodarczemu regionu;

— wybitne zasługi w rozwijaniu produkcji rolnej lub za podejmowanie czynów społecznych służących rozwojowi gospodarczemu i kulturalnemu wsi.

Wnioski o przyznanie nagród mogą składać naczelnicy wojewódzkie organa administracji państwowej, komisje Wojewódzkiej Rady Narodowej, zarządy główne i wojewódzkie związki zawodowych, stowarzyszeń twórców oraz organizacji społeczno-kulturalnych, wyższe uczelnie, placówki naukowo-badawcze, stowarzyszenia naukowo-techniczne, instytuty naukowe oraz dyrekcje zakładów pracy, organy władzy i administracji państwowej stopnia podstawowego.

Nagrodzone mogą być osoby z województwa sieradzkiego, jak i spoza wyróżniające się szczególnymi osiągnięciami i wkładem pracy w rozwój regionu.

Nagrody przyznawane są corocznie z okazji Święta Odrodzenia.

Wnioski należy kierować do sekretariatu Komisji Nagród Województwa Sieradzkiego, mieszczącego się w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, ul. Zamkowa 2 — do 30 maja 1977 roku.

MUZYKA

TRĘBACZE W KONKURSOWYCH SZRANKACH

Pabianice. Miasto o żywych tradycjach amatorskiego wykonawstwa chóralnego i muzykowania w orkiestrach dętych, posiadające m. in. Szkołę Muzyczną I i II stopnia, cykliczne koncerty kameralne, a co jakiś czas koncert symfoniczny z udziałem zespołu łódzkiej Filharmonii.

Od kilku lat mają tu właśnie miejsce konkursowe zmagania w raczej mało dotąd eksponowanej u nas dziedzinie — solistycznej grze na instrumentach dętych blaszanych. Przypomnijmy: w roku 1974 odbył się pierwszy Ogólnopolski Konkurs Młodych Trębacy, w roku 75 — Młodych Puzonistów, rok temu — Wąlnostów, natomiast w bieżącym roku, od 19 do 23 kwietnia, ponownie Ogólnopolski Konkurs Młodych Trębacy.

Wartościowa idea, mająca na celu rozwijanie najlepszych tradycji w tej dziedzinie muzyki i dalsze podnoszenie rangi „blaschy”, która w codziennej praktyce koncertowej spełnia najczęściej funkcję orkiestrę.

Organizatorzy tegorocznej imprezy, to Ministerstwo Kultury i Sztuki — Zarząd Szkół Artystycznych, Katedra Instrumentów Dętych przy PWSM w Warszawie, Wydział Kultury Urzędów Miejskich w Pabianicach i Łodzi, Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Muzycznej, Towarzystwo Przyjaciół Pabianiec, tamtejsza Szkoła Muzyczna. Lista dopuszczonych do walki o palmę pierwszeństwa objęła grupę 16 reprezentantów krajowych wyższych uczelni muzycznych oraz dwu trębaczy z zagranicy (a więc, podobnie jak w ubiegłym roku, już jednak chyba nie konkurs „ogólnopolski”). Uczestników obowiązywało wykonanie w ramach trzech konkursowych etapów m. in. koncertów Haydna i Sikorskiego. Odnotujmy nazwiska laureatów wyłonionych przez jury obradu-

JANUSZ JANYST

INFORMACJE

Ciekawa wystawa w Poznaniu

W Poznaniu w Bibliotece im. E. Raczyńskiego czynna jest bardzo interesująca wystawa „Elementarze u nas i na świecie”. Zbiór zawierający oryginalne lub fotokopie najdawniejszych naszych elementarzy oraz tych z okresu międzywojennego i najnowszych pochodzi z ogromnej kolekcji Janiny i Antoniego Maćkowiaków — nauczycieli, którzy całe życie poświęcili sprawom nauczania początkowego. Przez całe też życie gromadzili i gromadzą w dalszym ciągu swoje zbiory, marząc, iż staną się one początkiem Muzeum Szkolnictwa. Kolekcję uzupełniają elementarze różnych narodów, nawet bardzo egzotycznych.

„Stara Baśń” na radiowej antenie

Kolejną premierą Radiowego Teatru Klasyki będzie serial słuchowiskowy „Stara Baśń”. Choć od napisania najpóźniejszej z książek J. I. Kraszewskiego upłynęło już 100 lat — dzieje miłości dwójga młodych ze słowiańskiego osiedla nad Gopłem interesują wciąż nowych czytelników. Prawdopodobnie więc wiernych słuchaczy znajdzie także serial w reż. Zdzisława Dąbrowskiego. Pierwszy odcinek zostanie nadany 15 maja br. o godz. 13 w programie IV.

Konkurs „Złotego Kłosa” rozstrzygnięty

Rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs czytelników „Złoty Kłosa dla twórcy, srebrne dla czytelników”, organizowany przez redakcję „Dziennika Ludowego”, Ministerstwo Kultury i Sztuki i organizacje działające na wsi.

W plebiscycie, organizowanym już po raz trzynasty wzięło udział blisko 40 tys. osób. Największą liczbę głosów spośród 10 konkursowych książek — współczesnych powieści polskich pisarzy, uzyskała „Appassionata” Józefa Mortona. Kolejne miejsca zdobyły: „Krwawe skrzydła” Lesława Bartelskiego, „Awans” Edwarda Redlińskiego i „Przeżyłyna rzekę” Juliana Kawalca.

Sukces Teatru Nowego

Teatr Nowy odniósł kolejny sukces festiwalowy: po Opolu i licznych nagrodach dla inscenizatora i wykonawców „Dialogus de Passione”, jury XVII Kaliskich Spotkań Teatralnych nagrodę przyznało reżyserowi „Egaminu” Janowi Pawłowi Gawliki — Wojciechowi Piłarskiemu, który otrzymał również nagrodę za rolę dyrektora Mazura w tym spektaklu. Nagrodzono także Zofię Grabiewicz za rolę polonistki Chlebowskiej.

Festiwal piosenki żołnierskiej

Zakończona już przygotowania do tegorocznego XI festiwalu piosenki żołnierskiej. Ustalono program oraz listę solistów i zespołów, którzy wystąpią w Kolobrzegu w dniach 5-9 lipca br.

Do ważnych wydarzeń tego festiwalu będzie należała niewątpliwie prezentacja oratorium pt. „Eos żołnierski” M. Saria i J. Gałkowskiego, w którym wystąpią znani aktorzy, piosenkarze oraz chór Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.

W ciągu 5 dni odbędzie się 11 koncertów oraz ogólnowojskowe konkursy kompanii marszowych, orkiestr dętych i muzyki paradowej. W festiwalu wezmą udział również artyści wojskowi z krajów socjalistycznych.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BŁAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEU? SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.

SUROWCE

Wśród wielu wydarzeń ostatnich tygodni, o jakich z zainteresowaniem pisała prasa na całym niemal świecie, warto wyróżnić trzy.

Pierwsze — 22 kwietnia 1977 roku na platformie wydobywczej Bravo, położonej na Morzu Północnym, późnym wieczorem wytrysnęła ropa naftowa. Stało się to w czasie naprawy rur jednego z 17 odwiertów. Przez 181 godzin i 4 minuty z uszkodzonego odwiertu nr 14 wydobywała się ropa naftowa z szybkością 360 km na godzinę i rozlewała się tnącą plamą po powierzchni Morza Północnego nad podwodnym polem naftowym Ekofisk. Ropa naftowa rozlała się na powierzchni morza równie blisko 3 tys. km kwadratowych.

Drugie — Na początku maja w Salzburgu zebrali się uczeni z 63 krajów, aby obradować nad przyszłością energii nuklearnej i właśnie w czasie tego spotkania były doradca Senatu USA — Paul Leventhal ujawnił, że pod koniec 1969 roku na trasie między Antwerpią a Genuą zaginął ładunek 200 ton uranu, z którego można wyprodukować 30 bomb nuklearnych. Wiele dzielników w różnych krajach sugerowało, że uran ten powędrował do izraelskiego ośrodka atomowego w Dimonie, położonego na pustyni Negew.

Trzecie — 20 kwietnia 1977 roku prezydent USA — Jimmy Carter na posiedzeniu obu Izb Kongresu zaprezentował swój program energetyczny.

Te trzy wydarzenia, aczkolwiek tak różne i dotyczące różnych spraw, mają jeden wspólny mianownik — surowce oraz będą miały niewątpliwie wpływ na energetyczną przyszłość naszej cywilizacji. Jaki to będzie wpływ — pokaże ta przyszłość. Ale jedno już jest pewne, że nie możemy z pełnym optymizmem i spokojem patrzeć ani na pola naftowe Morza Północnego, ani też w perspektywę nuklearnej energetyki, ani też na żaden inny problem energetyczny jutra.

Malejące zapasy

Energetyka — to przede wszystkim problem surowców. Elektrycz-

ny przykład w Związku Radzieckim pali się pod kotłami elektrowni ziemnymi i węglowymi. Lądowe i morskie wykorzystywanie również w Szwecji, ale zarzucono je na początku lat 60-tych jako nieekonomiczne. Kanada zamierza uzyskać do 1980 roku 10 milionów ton ropy naftowej z piaszczystych ropościsła prowincji Alberta.

Odkrycie ropy naftowej i gazu ziemnego pod dnem Morza Północnego wywołało nagłe ożywienie w wielu krajach tego rejonu. Wielka Brytania na przykład z eksploatacją tych złóż wiązała nadzieję na pewne usamodzielnienie się surowcowo. W Szkocji nawiązała się fala nacjonalizmu. Również Norwegia wiązała z naftą wielkie nadzieje. Tej fali optymizmu nie mógł przysporzyć nawet

stawa dla wielu krajów, które popierały Izrael, a świat mógł się przekonać, czym może być współczesna cywilizacja bez ropy naftowej. Jeśli więc ludzkość chce — a musi — przygotować się do przezwyciężenia przyszłego kryzysu energetycznego, który wiąże się z wyczerpaniem się surowców energetycznych, to musi dążyć do zmiany supremacji ropy naftowej w systemie energetycznym.

W USA na przykład ropa naftowa i gaz ziemny stanowią więcej niż 75 procent zużywanych paliw, ale tylko 7 procent rezerwy tych paliw. Zużycie paliw płynnych w USA rośnie rocznie o 5 procent, a produkcja ropy naftowej w tym kraju spada o około 6 procent. Konsekwencją takiego układu musi być oszczędzanie paliw w USA i program energetyczny Jimmy'ego Cartera zakłada, że co roku do 1985 roku wzrost potrzeb energetycznych nie może przekraczać 2 procent. Zakłada on również mniejsze zużycie benzyny, ograniczenie importu ropy naftowej oraz zwiększenie wydobycia węgla o 60 procent i coraz większe wykorzystywanie energii... słonecznej.

Węgiel w USA jest źródłem tylko 18 procent powstającej tam energii, ale stanowi też 90 procent rezerwy paliw. Nim jeszcze został w pełni przywrócony do łask już zrodziła się wobec niego opozycja. Przede wszystkim dlatego, że grozi zanieczyszczeniem środowiska naturalnego w znacznie większym stopniu niż ropa naftowa. Ale też i dlatego, że wykorzy-

tym bardziej reaktory powielające, które wytwarzają więcej rozszerzone paliwa jądrowego niż go zużywają w przemianie na energię elektryczną, gdyby nie fakt, że powstający w nich pluton służy do wytwarzania bomb nuklearnych. Afera sprzed 8 lat z 200 tonami uranu przypominała dziś do czego może służyć ten energetyczny surowiec.

Gdzie więc szukać innych źródeł energii?

Niektórzy pokazują na słońce, wiatr i wodę, a także na wnętrza Ziemi. Gdyby można było wykorzystać tylko jeden procent energii słonecznej, to nie mieliśmyby kłopotu z rosnącymi potrzebami energetycznymi. Wiatry mieli kłopoty z zubożeniem, poruszać się w powietrzu, Profesor William Heronemus z uniwersytetu w Massachusetts, wybitny ekspert w dziedzinie energii wiatrów, zbudował własnym sumptem kilka elektrowni napędzanych wiatrem, które funkcjonują u wybrzeży północnego Atlantyku. Inny badacz amerykański — Amory Lovins lansuje pogląd, według którego bardziej korzystnym jest system małych lokalnych elektrowni, w tym również napędzanych wiatrem lub słonecznych. Przypomina on znaną prawdę, że przy wytwarzaniu elektryczności powstają znaczne straty energii, jak również traci się ją przy przesyłaniu na większe odległości. Francuzi w Pirenejach wybudowali elektrownie słoneczne, która zdolna jest do rozżarzenia 640 stuwatowych

daleko od słońca

mość, ciepło, parę, wytwarza się przede wszystkim z węgla, ropy naftowej i gazu ziemnego. Surowce te mają to do siebie, że nie dają się ponownie odtwarzać nawet w minimalnym procentie. Raz wydobyte i zużyte stają się bezpowrotnie straconymi. A ich zapasy na naszej planecie są ograniczone.

Zdaniem ekspertów Organizacji Narodów Zjednoczonych zapasy paliw kopalnych powinny wystarczyć na pokrycie potrzeb do końca XX wieku i początku wieku XXI. A co dalej? Tym bardziej, że ci sami eksperci nie kryją wcale możliwości występowania regionalnych kryzysów surowcowych na Ziemi oraz nie widzą możliwości zahamowania staroświatowych cen na te surowce jeszcze przed upływem naszego stulecia.

Inni eksperci od problemów energetycznych uważają, że gaz ziemny starczy na 40 lat, ropy naftowej — przy obecnym tempie jej wydobywania — na 25—30 lat. Węgla natomiast na 200—300 lat. Ale przy budowaniu tej prognozy założono odczynny poziom rozwoju cywilizacji, co jest już błędem podstawowym. Toteż specjalisci zastrzegają, że przy wzroście potrzeb energetycznych i wydobyciu surowców energetycznych czas, na jaki powinny one wystarczyć, będzie się szybko kurczył. Tu należałoby przypomnieć, że w latach 1962—1973 zużycie energii na całym świecie wzrosło o 80 procent. W krajach socjalistycznych w tym czasie zużycie energii wzrosło prawie dwukrotnie, a w niektórych krajach Azji i Afryki — więcej niż dwukrotnie.

Bariera technologiczna

Czy już wszystko wiemy o zasobach surowcowych naszej planety? Zapewne nie wszystko, ale nawet nadzieja, że gdzieś kryją się bogate pokłady gazu ziemnego czy ropy naftowej nie zmienia obrazu energetycznej przyszłości świata. Wiadomo na przykład, że u podnóża Gór Skalistych znajdują się łupki bitumiczne, których eksploatacja podwoiłaby światowe zapasy ropy naftowej, w prowincji Alberta w Kanadzie znajdują się piaski ropościsłe, które dałyby drugie tyle. Zresztą piaski ropościsłe i łupki bitumiczne znajdują się też w innych rejonach świata. Na przykład przypuszcza się, że piaski ropościsłe znajdują się w Wenezueli i zawierają one około 50 miliardów baryłek ropy naftowej.

Bogate złoża ropy naftowej, gazu ziemnego oraz możliwości wykorzystania energii wodnej dla produkcji energii elektrycznej znajdują się na dalekich obszarach radzieckiej Syberii. Oblicza się, że Związek Radziecki posiada prawie dwie trzecie światowych rezerw węgla kamiennego i brunatnego, niemal jedną trzecią gazu ziemnego oraz jedną ósmą ropy naftowej. Jednakże część tych rezerw znajduje się na takich obszarach Syberii, gdzie nie ma jeszcze warunków dla ich eksploatacji.

Względnie techniczne, ekonomiczne a także transport powodują, że nie które zapasy surowcowe znalazły się obecnie poza zasięgiem zainteresowań. Niemniej jednak w niewielkiej skali korzysta się z tych źródeł. Na

fakt, że wydobycie baryłki ropy naftowej spod dna Morza Północnego kosztuje 8 razy więcej niż na Bliskim Wschodzie. Cóż to zresztą jest wobec kosztów, jakie za wydobycie ropy naftowej płać się na Alasce, gdzie jest ona 10 razy droższa niż na Bliskim Wschodzie.

I dopiero katastrofa na platformie wydobywczej Bravo, na podwodnym polu naftowym Ekofisk, z którego ropa płynęła rurociągami do Anglii, Norwegii i RFN, nadzieje te ostudziła. Plama ropy naftowej o powierzchni blisko 3 tys. km kwadratowych zagroziła naturalnemu środowisku. Biologiczne skutki tej katastrofy nie są jeszcze znane, ale uczeni twierdzą, że możemy być poznaczni na długo po tej katastrofie. To ostudziło zapęły, tym bardziej że Red. Paul Adair, szef firmy „Red Adair Oil Well Fires and Blowouts Control Company”, ten sam, który z swoimi ludźmi zatkał odwiert nr 14 na platformie wydobywczej Bravo przestraszył przed możliwością takiej katastrofy. Pronoował organizację systemu kontrolno-ratowniczego, która firmom eksploatującym złoża dna Morza Północnego wydała się zbyt droga. Paul Adair, zwany „Czerwonym Adairem”, co po polsku powinno brzmieć po prostu „Rudy Adair”, jest najwybitniejszym specjalistą od ratowania i gaszenia sztybów naftowych. Jego program mógł być skutecznym i koszt realizacji tego programu wyniósłby mniej niż koszt, jaki trzeba będzie zapłacić za katastrofę na platformie Bravo, a jest to koszt, którego w całości nie da się zaksięgować, gdyż nie można go będzie liczyć tylko w dolarach czy funtach szterlingów.

Węgiel wraca do łask

„Energia stanowi podstawę życia i rozwoju ludzkości, jest tak potrzebna jak powietrze i woda. Bez pomocy energii człowiek byłby zdany na łaskę środowiska i nie osiągnąłby nawet małej cząstki tego rozwoju gospodarczego i technicznego, jaki jest dziś jego udziałem” — pisał Kazimierz Kopecki w książce „Człowiek w świecie energii”.

Istotnie bez umiejętności wykorzystywania surowców energetycznych nie byłoby komunikacji, budownictwa, rolnictwa, przemysłów od spożywczego po elektroniczny, handlu w jego dzisiejszym kształcie, usług, rozrywek. Podstawa tego wszystkiego jest umiejętność wykorzystywania ropy naftowej, gazu ziemnego i węgla jako źródeł energii. Wprawdzie węgiel jest najstarszym znanym źródłem energii, ale ropa naftowa jest najpowszechniej stosowana. Paliwa pochodzące z ropy naftowej służą nie tylko do poruszania silników samochodowych, samolotowych, okrętowych, nie tylko poruszają turbiny napędzające generatory, ale też służą do ogrzewania mieszkań i ropy naftowa jest także podstawowym surowcem dla petrochemii. Ta supremacja ropy naftowej stanowi o jedyności systemu energetycznego i jest jego minusem.

Wystarczyło, że w 1973 roku kraje arabskie uczyniły z ropy naftowej broń polityczną, zamykając jej do-

stanie węgla wiąże się z przebudową wielu urzędów energetycznych.

W latach 1960—1973 w 24 rozwiniętych krajach kapitalistycznych należących do Organizacji for Economic Cooperation and Development (OECD) zużycie węgla utrzymywało się mniej więcej na tym samym poziomie, podczas gdy zużycie ropy naftowej wzrosło trzykrotnie, a gazu ziemnego — dwukrotnie. Zainteresowanie węglem wzrosło dopiero od 1973 roku i rośnie nadal.

W Polsce w latach 1960—1975 wydobycie węgla rosło systematycznie, jeśli w 1960 roku stanowiło ono 5,3 procent światowego wydobycia węgla, to w 1975 — już 7,3 procent. Ale rzecz jednak nie w samym wydobyciu i jego wielkości, chociaż to też ma swoje znaczenie. W obecnym systemie energetycznym węgiel będzie nadal spełniał mniejszą rolę powinieneć. Rozwiązanie leży zatem w odwróceniu procesu. Zamiast dostosowywać system energetyczny do węgla, trzeba węgiel dostosować do systemu energetycznego. Zamiennię węgla na ciecz i gaz.

Technicznie nie ma w tym nic trudnego. Metody takie stosowano już w czasach drugiej wojny światowej. Dziś też je stosuje się, ale w ograniczonej skali. W Sasolburgu w Afryce Południowej firma „Sasol” od dłuższego czasu produkuje już ropę i gaz z węgla. Belgijskie towarzystwo „Inienx” stosuje metodę gazyfikowania węgla pod ziemią. Firma „Stegage” w RFN buduje urządzenia do zamieniania węgla w gaz pod ciśnieniem. Z węgla można wydobyć te same pochodne co i z ropy naftowej. Ale — jak twierdzi dr M. L. Slinn Sirrah, wiceprezes amerykańskiej firmy „Conoco” — baryłki ropy naftowej czy gaz otrzymany z węgla kosztuje więcej niż otrzymywane w naturalnej postaci. Baryłki ropy naftowej kosztuje więcej niż dwukrotnie, a gaz wielokrotnie więcej niż wydobyty obecnie obowiązkowo jego ceną. Uczeni zatem bledzą się nad znalezieniem tanich metod zamiany węgla w gaz i ciecz, co umożliwiłoby szersze stosowanie węgla pod tymi postaciami w istniejącym systemie energetycznym oraz ułatwiłoby jego transport istniejącymi środkami, w tym gazociągami i rurociągami, a także zmniejszyłoby produkty spalania węgla z 10 procent do 0,1 procent. W tej pracy uczestniczą również polscy specjaliści, a jej rezultaty przyczyniłyby się do podniesienia rangi polskiego węgla na światowym rynku. I to jest wielka szansa dla naszej gospodarki.

Słońce i wiatr

Energetycy patrzą z nadzieją na atom. Energetyka atomowa wydaje się właściwym rozwiązaniem, ale opinia publiczna wielu krajów jest innego zdania. Najpierw była bowiem bomba atomowa, a później dopiero elektrownie atomowe. Nad energetyką atomową wisi cień Hiroszimy i Nagasaki, a ludzie chcieliby takiego niebezpieczeństwa uniknąć, stąd w USA, we Francji, Szwecji i Szwajcarii antyatomowe demonstracje. Reaktory atomowe mogłyby być idealnymi źródłami energii, a już

żarówkę. Plan energetyczny Jimmy'ego Cartera zakłada wykorzystanie energii słonecznej do ogrzania co najmniej 2,5 miliona domów.

Z energii słonecznej i z energii wiatrów nie można jednak korzystać w każdym rejonie naszej planety, a poza tym nie rozwiązano jeszcze problemu akumulowania energii na czas nocy, zachmurzenia i bezwietrznej pogody. Wykorzystanie nie znanych do tej pory źródeł energii jest dalszą drogą.

Podobnie wygląda sprawa z energią geotermiczną. Wprawdzie przy jej pomocy ogrzewa się 90 proc. domów w Reykjaviku, na Węgrzech ogrzewa się przy pomocy tej energii 1,5 miliona m kwadratowych szkła, a w ZSRR oszczędza się dzięki niej milion ton ropy naftowej rocznie, ale nie wszędzie jest to możliwe. Francuzi co prawda mają zamiar do 1985 roku ogrzać wodą z ciepłych źródeł pół miliona mieszkań w Paryżu, bo akurat w pobliżu mają takie źródła, ale dla innych jest to tylko marzenie. Teoretycznie rozważa się możliwość wykorzystywania ciepła z wnętrza Ziemi, ale technicznie jest to sprawa bardzo dalekiej przyszłości.

Istnieje też możliwość wykorzystywania energii przypliwów mórz, prądów morskich i różnicy poziomów wód w rzekach i jeziorach. Daje to ogromne korzyści, a kiedyś wodę nazywano „białym węglem”, ale — niestety — większość istniejących możliwości już wykorzystano, a wykorzystanie pozostałych wiąże się z różnymi trudnościami technicznymi. Odnosi się to szczególnie do wykorzystania energii przypliwów i prądów morskich.

W St. Louis kosztem 70 milionów dolarów wybudowano wielką elektrownię, pod kotłami której spala się odpadki. Jednakże jej rentowność za leży nie od ilości wytwarzanej energii, a od tego, że z dostarczonych do elektrowni odpadków wybiera się i sprzedaje surowce wtórne. Jest to więc raczej sposób na likwidowanie śmieci niż rozwiązanie dla energetyki. Również Szwedzi sposób likwidacji śmieci wiąza z sposobem wytwarzania energii, ale nie jest to żadne radykalne rozwiązanie.

Specjaliści utrzymują, że wszystkie te sposoby wytwarzania energii: słońce, woda, wiatr, naturalne źródła ciepła i inne, które określa się jako sposoby niekonwencjonalne, na przełomie XX i XXI wieku, zakładając ich maksymalny rozwój, będą w stanie zaspokoić najwyżej 10 procent światowych potrzeb energetycznych. A reszta?

Co więc robić? Nie tracić nadziei i nie ustawać w poszukiwaniach. Fakt, że przy obecnym sposobie myślenia i widzeniu problemu energetyki nie dostrzegamy rozwiązań wcale lepszych niż musi oznaczać tego, że takiego rozwiązania nie ma. Trudno byłoby wykluczyć, że w zasięgu naszych rąk jest paliwo, które pozwolił nam rozwiązać nasze kłopoty energetyczne i zrehabilitować istniejący system energetyczny.

Opracował:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

ODKRYCIE FELIKSA ŁOYKI

Odkrycie Feliksa Łoyki jest z pewnością jednym z największych osiągnięć powojennych badań nad dziejami polskiego Oświecenia. Celowo mówimy o odkrywaniu, choć o Łoyce więdzieliśmy od dawna, bo współczesne badania ukazały nam, że postać w zgoła innym niż dawniej wymiarze, doprawdy odkrywając jednego z najwybitniejszych naszych statystów i uczonech z czasów stanisławowskich. Do panteonu wybitnych Polaków XVIII stulecia wprowadził Łoykę zasłużony Julian Bartoszewicz, a następnie generacja historyków powoli dorzucała do skreślonego przez siebie portretu coraz to nowe szczegóły. Jakosiłow skok dokonał się jednak dopiero po wojnie. Najpierw Stanisław Hubert ukazał nam Łoykę jako pisarza politycznego wysokiej klasy, zaangażowanego w obronę polskiej racji stanu w okresie I rozbioru kraju. Zanalizował jego publicystykę polityczną, wykazał jej wartość, chociaż nie była pełna przy tym i pewnych pomiarów. W badaniach nad Łoyką jest o nie szczególnie łatwo, bowiem jego prace historyczno-polityczne ukazywały się anonimowo i niezmiernie trudno je wyodrębnić z obfitości literatury polemicznej z czasu I rozbioru. Stan naszej wiedzy o F. Łoyce zrehabilitowały jednak dopiero badania Heleny Małurkiewicz-Urbanśkiej.

Trwały one długo, przez kilkanaście lat, a i dzisiaj nie zostały jeszcze doprowadzone do końca. Przed ponad dziesięcioma laty H. Małurkiewicz-Urbńska opublikowała swe pierwsze studium o tej znakomitej postaci. Potem przyszły następne, zaś podsumowanie badań przyniosła dopiero monografia: „Prace Feliksa Łoyki nad historią gospodarczą i ekonomią Polski”, której część I opublikowano właśnie, jako kolejną pozycję krakowskiej Komisji Nauk Historycznych PAN we Wrocławskim Ossolineum (1978).

Feliks Łoyka urodził się w 1717 r. w Grzybowie, w ówczesnym województwie kaliskim, kształcił się w szkołach w Poznaniu i Legnicy, otarł się o dwór Janusza Wiśniowieckiego, rozpoczynał karierę na dworze Augusta III, szybko znalazł się w otoczeniu Stanisława Augusta, którego był szambelanem. W 1766 r. odbył ważną misję polityczną we Francji, której rezultatem było uznanie elekcji Stanisława Augusta przez Ludwika XV. Zetknął się wówczas ze Stanisławem Leszczyńskim. Włączył się do prac, mających na celu modernizację kraju, inicjowanych przez króla: został członkiem Dyrekcji Manufaktur Wielkaniowych, członkiem Komisji Skarbu Koronnego, później wszedł w skład Rady Nieustającej. Uczestniczył w słynnych obiadach czwartkowych, uprawiał działalność publicystyczną na łamach „Monitora”. Ale jego główną pasją była historia, która interesował się jeszcze w młodości. Mógł niebawem wykazać swą wiedzę i talent w tym zakresie, kiedy w dobie I rozbioru powstała potrzeba podjęcia przez stronę polską polemiki z historyczno-politycznymi argumentami, na które powoływały się mocarstwa zaborec dla udowodnienia swojego postępowania w stosunku do Rzeczypospolitej. Rozprawy Łoyki, wydawane w kilku językach, kolportowane w całej Europie, były — jak powiada dzisiejszy historyk — „publicznym wyrazem protestu politycznego przeciw pierwszemu rozbirowi Polski”.

Do badań i naukowych prac gospodarczych rozpoczętych przed rokiem 1773 pisze H. Małurkiewicz-Urbńska — powrócił Łoyka w roku 1774 i kontynuował je do ostatnich dni swego życia, tj. do wiosny roku 1778. Wyniki tych prac pozostawionych w rękopisie nie zostały ani współczesnie, ani później opublikowane, choć się o to w ciągu XIX wieku upominano. Łoyka odstąpił od swego warsztatu nagłe, zostawiając wiele prac nie dokończonych i nie uporządkowanych”. Zmarł po miesięcznej zaledwie chorobie 19 maja 1779 r. w Warszawie. Jego obfita spuścizna rękopiśmienna znalazł się Adam Naruszewicz, potem przeszła ona w ręce Tadeusza Czaickiego, który nieraz z niej korzystał, następnie znalazła się w Bibliotece Państwowej Czartoryskich, by w końcu dotrzeć do zbioru, w którym znajduje się i dzisiaj: do Biblioteki Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Jest to zbiór obfity: liczył pierwotnie 69 tomów, z których trzy zaginęły podczas II wojny światowej; całość obejmowała — jak podaje H. Małurkiewicz-Urbńska — ponad 37 tys. stron. Nie wszystko, co się tam znalazło, było to własne dzieła Łoyki; sporo miejsca zajęły materiały obecne, najróżniejsze wypisy, notaty i inne materiały pomocnicze. Niemierznie trudno było wyodrębnić z tej ogromnej całości własne, autorskie dzieła Łoyki, stanowiące — jak podaje H. Małurkiewicz-Urbńska — około 10 tomów, o rozmiarze około 5 tys. stron (w całości). Na dzieła te złożyły się zarówno prace historyczno-polityczne, z których większość została anonimowo wydana za życia autora, jak prace gospodarcze, zupełnie dotychczas nie znane, dotyczące zagadnień skarbowości i systemu podatkowego, wielkie dzieło o pieniądzu, rozprawa o „monecie pod Stanisławem Augustem” i inne. Jest wielką zasługą H. Małurkiewicz-Urbńskiej, że odkryła i po części już opracowała te niezmiernie wartościowe spuścizny, ukazując nam F. Łoykę, jako twórcę nowoczesnych badań historyczno-gospodarczych w naszym kraju.

Omawiany tu pierwszy tom ważnej pracy H. Małurkiewicz-Urbńskiej poświęcony został badaniom F. Łoyki nad zagadnieniami pieniędza. Z niecierpliwością oczekujemy dalszych części monografii. A postulat opublikowania najważniejszych rękopiśmiennych dzieł F. Łoyki godzien jest z pewnością realizacji.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

W GNIEZNI I W KRUSZWICY

Oto dwie góry płodne nadszczają
Ta jedna urodziła
pawia
papugę
faceta to wdrapał się na lubostrany pałac
i podtrzymał zawadiacko ręką glob
ziemię którą gdy ścisnąć krwawi
ciebie
mnie

Druga rodzi
myszy
Te podgryzają więz z kości słoniowej
arki przymierza
moce
trony
człowieka co brzmi dumnie

Między nimi wiatry przenoszą
tam i z powrotem
głos wolny wolność ubezpieczając
wielką improwizację
mowę traw
A człowiek ów
raz brzmi dumnie
raz nie brzmi
a przecież wciąż musi
odrywać się od piastowania ziemi
a to by zagrać miostom na flecie strzemiennego
to znów do sianokosów lingwistycznych
ale najczęściej aby osuszać tamponami
ziemię z krwi

DIONIZJE

Za dnia w sali balowej
palacu Skórzewskich
stajemy oko w oko —
Wypukłoby fryz
z procesją dionizyjską
i my

też dzieła sztuki Wysokiego Lotu
i też chłodne
acz legitymujące się pachami
które umięją nawet rtec podnosić na strzelistą
wysokość

Stajemy oko w oko
dwa fenomeny tak przeciwstawne
jak nieruchomość i nieruchawość
kult pierwotny i kult bezbłędnie zaprogramowany
jak stół i patynkowane wapnem tętnice
Stajemy nie zwalniając kroku
znikamy sobie z oczu bez zachodu

A kiedy zachód zaskoczy i horyzont
i pylony u bramy zmieniają się w maczugę Herkulesa
i liście platanu wyskandując strofę alcejską
a także czerwonym motylem wychybcze dworski
mlyn

arecydzieło gotyku romantycznego
a i Noteć z nocnej wracając wycieczki
sprowadzi w pętach
dziewięćdziesiąt dziewięć mitycznych wiosek
ostatniej Skórzewskiej —
to wtedy właśnie
stają przed nami trzy boginie
Wieczór

Baśń
Utrata Poczucia Czasu
(zżółkłych metryk)
a każda wręczy nam po jabłku

To wtedy właśnie uderzy w nasze dusze
przyływ zagubionej przez lata krwi
i ambrozjo cieleśne
wzleć nad gzymś sali balowej
na fresk procesyjny
i przedzierzną
stojący pochod foremnych kamieni
w zdyszane wściekle zaciekłe
dionizje

Przy budce Cichy kupuje szesć
butelek piwa i, kiedy niesie je
do Animalsa i Dzikiego, myśli, że
będąc wśród nich najsłabszym
ciągle musi spełniać posługi. Ale
wie, że jeśli plan wymyślony
przez niego się powiedzie, od ra-
zu powinien zyskać panowanie.
Oni, Dzikie i Animals, mają od
niego większą fantazję, Animals
potrafi grać na gitarze, Dzikie
świetnie załatwia dziewczyny, ale
jeśli idzie o coś konkretnego, o
jakąś konkretną robotę, on Ci-
chy, potrafi zdziałać najwięcej.
Więc teraz, kiedy czuje w gardle
chłód piwa, kiedy wyobraża sobie
te chwile po wszystkim, po uda-
nej robotcie, świat zaczyna być
dla niego mniej dokuczliwy. I
choć wie, że za moment będzie
musiał łecić po następne piwa
niczym chłopiec na posyłki, nie
czuje już takiej nienawiści do
nich, którym służy, bowiem już
wkrótce wzbudzi ich uznanie.
Eddi wysiada z tramwaju i znów
znajduje się w sytuacji, kiedy na-
leży podjąć decyzję: co dalej ro-
bić. Rozgląda się jakby nie wie-
dząc, w którą stronę ma się skier-
ować. Obserwuje żarty i śmiech
mężczyzn stojących przy budce z
piwem i, ulegając bezwładowi, u-
stawia się w kolejce. Kiedy, z
butelką w ręce, jest już człon-
kiem tej społeczności, zauważa,
że wyglądem i sposobem bycia w
ogóle tutaj nie pasuje. Animals,
powoli sącząc piwo, widzi Eddie-
go i myśli, że, chociaż nie gra
na gitarze, nie ma pieniędzy na
białe zagraniczne dżinsy. Na-
zывают go Animalssem, jest
z tego zadowolony, a na-
wet dumny, ale nie ma koszuli
z wydrukowanym imieniem,
tak jak tamten, Eddi, który jest
tylko prezydentem. Cichy, widząc
spojrzenie Animalsa, odczytuje
jego myśli i wie, że tylko dzięki
jego pomysłowi Animals może
być ubrany tak, jak pragnie. Eddi
czuje, że jest obserwowany, czuje,
że spojrzeń przylepiają się jak-
by do jego ubrania, które w
sposób jaskrawy odróżnia go od
piwowoży. Stara się nie patrzeć na
nikogo, ale i tak musi słyszeć
niektóre zdania. „Czy tam nie
kreca się ludzie?” — Animals py-
ta Cichego, a Eddi słyszy to py-
tanie. „Możesz być spokojny, nie
potrzeba nawet obstawy” — od-
powiada Cichy i Eddi, pawol
zdaje sobie sprawę, o czym toczy
się rozmowa. Stara się skupić u-
wagę na słowach, które dociera-
ją do niego i coraz bardziej ro-
zumie, o czym tamci mówią. Ale
kiedy rozmowa, wyławiana z trud-
nem ze strzępów innych rozmów,
z oddgłosów ulicy, ze stuku bute-
lek piwa, kalambura, zaczyna być
niezrozumiała, dopija piwo i idzie
w kierunku kina.

Teraz Julia zaczyna rozumieć
swoją niespodziewaną przewagę
nad Dominiką: trzyma w rękach
przedmiot, który może być pre-
tekstem i kiedy Dominika wy-
ciąga rękę, Julia wie, że tego
pretekstu nie może jej oddać. W
tej szarpaninie, w tej walce o
przedmiot, Julia jest zreczniej-
sza. Więc kiedy, już jako zwycię-
zica, otwiera futerał, śmiech
Dominiki działa na nią drażniąco,
ale potem, w momencie ponow-
nego napełniania futerału ziemią,
w tej idiotycznej czynności, Julia
czuje się znów złączona z Domi-
niką.

Nawet tutaj, w sali kinowej, a
może szczególnie tutaj, Eddi nie
czuje się sobą, czuje się tym, który
w atelier fotograficznym bez-
litosnym okiem zauważa najdrob-
niejsze błędy w upowaniu mode-
lek i kiedy one ciągle zachowu-
ją się niezręcznie, ustawiają
nie tak jak być powinno, ostro
wymyśla im korygując rzeczywistość
dla wymogów obiektywu.
Eddi czuje, że posiada władzę,
nie rozumie jej jeszcze, nie wie
do czego ona prowadzi, ale ta
władza go upaja.

Więc jeszcze raz w kolejce po
piwo, więc jeszcze raz Cichy czu-
je, że jest chłopcem na posyłki,
nie docenianym sługą, ale myśli
jego wyprzedzają już te sytuacje,
wie, że po nastaniu zmroku on
będzie wśród nich najwzajemniejszy:
on będzie wydawał polecenia, a
tamci będą je wypełniać. Dzikie
przyjmuje butelki z rąk Cichego,
ale świadomość tamtej sprawy
hamuje go i nie okazuje już Ci-
chemu zwykłego lekceważenia.
Czuje, że dzisiaj, po nastaniu
zmroku, wszystko może się zmie-
nić, i tęskni do tego momentu,
kiedy będzie mógł pożegnać się
ze swoim ubraniem, dziećmi które-
mu jest tylko chłopakiem spod
budki z piwem. Wie, że jeśli be-
dzie miał na sobie te zagranicz-
ne ciuchy, nie będzie już potrze-
bował zabiegać o dziewczyny, że
one same przyjdą do niego.

Kiedy matka usypia, Elżbieta
wie, że będzie miała godzinę spo-
koju. Ten czas najlepiej spędzić
w domu, ale Elżbieta rozumie,
że nie warto teraz przepisywać,
najlepiej zająć się jakąś mało ab-
sorbującą czynnością, która jest
jednocześnie odpoczynkiem, bo-
wiem później, kiedy matka obu-
dzi się i znów zaczyna się te cią-
głe dorady, co zrobić, aby mieć
dobrze w życiu, najlepiej będzie
zagałębić się w pracę, która po-
zwoli się odgrodzić. Elżbieta kon-
szy zmywać naczyńia, przypomni-
na sobie, że dzisiaj ma ją odwie-
dzić ten chłopak, którego cenę za
powagę i pracowitość, przymioty,
które w jej otoczeniu stają się
anachronizmem, i zastanawia się,
na jak długo starczy jej sił, aby
się bronić przed filozofią łatwi-

zny życia. Kiedy zdejmuje gumo-
waną rekawiczkę, a potem ogląda
swoje ręce, myśli, że umie dbać
o siebie, myśli, że chyba dzięki
temu ma powodzenie, które, z
jednej strony, dodaje jej ducha,
z drugiej, wpełza w pułapkę
konformizmu.

Już wtedy, kiedy matka czę-
ściej obraca się na tapczanie, El-
żbieta rozumie, że jest sen staje
się coraz lżejszy, i jest to sygnał,
aby się w czymś zagłębić, naj-
lepiej w jakiejś pracy, o której
matka wie, że wymaga skupie-
nia, więc przeskakuje torbę, aby
odnaleźć notatki, z których spor-
ządzić ma sprawozdania. Prze-
chodząc obok okna, zastępuje w
zamysłieniu, wygląda na ulicę, po-
łudniowe słońce wprowadza ją
w stan lekkiego rozleniwienia,
teraz przynosi spod ściany na
stół walizkowa maszynę do pisa-
nia, otwiera ją, odszukuje w szu-
fladzie papier i kalkę. Myśląc je-
nocześnie o zagadkowych telefo-
nach i niemiłośności chłopaka,
który ma ją odwiedzić dzisiaj,
wkręca w nią warstwę papieru.

„Czy gdzieś nie wychodzisz,
czy znówu masz zamiar spędzić
wieczór w domu?” — Elżbieta
słyszy pytanie matki i stara się
nie przerywać przepisywania, aby
nie dać się wciągnąć w jałową
dyskusję. Myśli, że tak jest naj-
lepiej, że jest to jedyne wyjście,
aby uniknąć rozważań o jej try-
bie życia, sposobach postępowania
i dorad na temat, co zrobić,
aby zapewnić sobie pożytek. Pale-
ce wystukują tekst na maszynie
i z dźwiękiem czołonek uderzają-

„Czemu zawdzięczam niespodzie-
waną wizytę?” W tej chwili Eddi
żałuje już, że tu się znalazł, to
zdanie wyklucza możliwość ro-
zmowy takiej, jaką planował,
czuje, że Elżbieta spodziewała się
kogoś innego, jest niezadowolony
z tego, co musi odpowiedzieć:
— „Przypadkowym sprawo-
waniem, które przywiodły mnie w
te okolice, oraz sprzyjającemu
stanowi pogody”. Elżbieta ze
smutkiem obserwuje nagłe oży-
wienie się matki, która w tej
wizycie widzi już dobre perspek-
tywy, i wie, że ze względu na
matkę musi zaproponować herbatę,
choć dla niej będzie to
czas stracony. Przechadzając się
po mieszkaniu Eddi zdaje sobie
sprawę, że nie rozumie jeszcze
wszystkiego, nie może pogodzić
urody Elżbiety z jej podejściem
do życia i, kiedy stoi przed sta-
ronodną toaletką, mówi w kie-
runku swojego odbicia: — „Nie
lubie luster i kopulacji... Bo pó-
mnażają ludzi”. Uśmiecha
się machinalnie i nawet tekst
rozlegający się z radia nie mo-
że poprawić jego samopoczucia:
— Dyskotekę narodzili się z pe-
czankiem lat sześćdziesiątych.
Pierwsze z nich miały miejsce w
Londynie i Nowym Jorku, potem
zwyyczaj wspólnego tańca przy
muzycy z płyt szybko rozpo-
wszechnił się na Zachodzie. Wa-
runkiem udanej zabawy była do-
bra aparatura stereofoniczna i
pomysłowe efekty świetlne. Dy-
skoteki w krótkim czasie wyparły
dawne występy estradowe. Mło-
dzieź mogła tutaj w sposób bar-

strunach gitary. Teraz, gdy odpo-
czywają po robocie w tej małej
pałamarze Cichego, kiedy czuje
na sobie spojrzenie zasłuchanej
dziewczyny, rozumie, że nadszedł
czas jego popisu i wybiera so-
bie swoje zdjęcie z gitarą na ko-
lorowej okładce tygodnika. Dzikie
sprężynowym nożem usuwa brud
z paznokci, jest zadowolony z
wykonanego żartu (wysoki płomień
gazowej zapalniczki przesi-
strzył dziewczynę tak zasłucha-
ną w śpiwce Animalsa), przycho-
dzi mu na myśl, że wszystko jest
tak jak powinno: nawet on, Ci-
chy, zupełnie inaczej wygląda w
tym nowym ubraniu i może bez
trudu lizać się z tą drugą. Więc
aby przerwać nudę, silnymi szar-
piąciami zdzierła bluzkę z tej
zasłuchanej, siedzącej obok niego,
i obserwuje jej fałszywy opór.
Animals przestaje śpiewać i sięga
po butelkę z winem, aby dżus-
kiem wyszczyć z niej kilka ły-
ków. Myśli, że to jest śmieśne,
kiedy widzi, jak ona stoi naga i
niezręcznie zakrywa się rękoma,
ale jest zawiedziony, bo dalej nie
dzieje się nic fajnego, tylko Dzi-
ki wyjmując z teści damskie ciu-
chy, zabrane stamtąd, w poście-
chu, i rzuca je w kierunku roz-
zebranej, a ona, z początku osłu-
piąta, pośpieszenie zaczyna się u-
bierać. Dzikie zadowolony jest z
tego, bo teraz ta druga wyrwa
się z rąk Cichego, aby zająć do
teści, z której wyjęte zostały
ubrania, więc szybko chowa teści-
kę za siebie. W czasie tej zaba-
wy ręce dziewczyny nie mogą do-
sięgnąć celu, Animals powraca do
swojej piosenki, a Cichy dopija
reszkę wina. I wtedy ona zasty-
ga pod wpływem nagłego pozys-
ku: rozbiera się i wyciekają jej
soki nagi.

Kiedy Eddi krzasi się przy
stereofonicznej aparaturze, kiedy
sprawdza urządzenia świetlne,
czuje, że już za chwilę zapomni
o dniu dzisiejszym. Ta sala, która
powoli zapelnia się nastoletnim
flumem, za moment będzie ter-
nem jego panowania. Eddi wy-
jmuje z kieszeni mikrofon, insy-
gnium swojej władzy, i sprawnie
podłącza go do przewodu. Teraz,
gdy jągła rączki adapteru zbliża
się do płaszczyny płyty, wie, że
za chwilę rozlegnie się muzyka,
będąca dla niego zapomnieniem i
azyłem. Kiedy światła zaczynają
błyskać, kiedy rozbrzmiewa już
głośna muzyka, Julia i Dominika
pierwsze wychodzą na parkiet,
aby zademonstrować, jak potrafią
tańczyć. Na razie samotnie wyko-
nują skomplikowany rytuał ru-
chów i, kiedy czują na sobie
spojrzenie Eddiego, jest to dla
nich popis i rehabilitacja. Par-
kiety się już zapelnia, Animals,
Dzikie i Cichy naśladują tańce
dziewczyn, z którymi tutaj przy-
szli, w błyskach lamp obserwu-
ją swój wygląd w nowym stroju
i myśli, że w końcu są ubrani
tak jak być powinno. W przes-
miej między utworami rozlega się
melodyjny głos Eddiego: — A te-
raz posłuchajmy, o czym marzy
Janis Joplin i tańcząc przez dwie
minuty pomarzymy o tym samym:
„Oh Lord, I want you buy me a
Mercedes Benz, my friends all
drive Porshes”. Julia wolno wy-
gina się w rytmie bluesa i, cho-
ciaż nie rozumie angielskiego
tekstu piosenki, myśli, że jest ma-
rzenia na pewno są takie same.
Dzikie czuje się tutaj coraz bar-
dziej pewnie, ale chciałby zapo-
mnieć, że jest to zasługa Cichego.
Teraz, kiedy jego oczy przywy-
kły już do migotania, widzi, jak
do ich grupy przyłącza się ten
młody, krótko ostrzyżony, że
ubrany chłopak i w tańcu zajmuje
miejsce przy ich dziewczynach.
Animals obserwuje, jak Dzikie od-
pycha na bok tego niepostrzebnego
i z ironią patrzy na jego śmie-
szny opór. Janis Joplin skończyła
śpiewać o swoich marzeniach i
teraz oddaje się wspomnieniu:
„The first good men on fuck...”

Na dworze, na zewnątrz klubu,
Animals i Dzikie obchodzą chlo-
paka, który przyłączył się do ich
grupy w tańcu, a tamten cofa
się niezręcznie przygotowując do
obrony. Cichy patrzy na to stojąc
z boku, widzi ucieczkę i pogoń,
ale kiedy tamci chwają się za
budynkiem biegnąc w stronę par-
ku, wie, że nie będzie potrzebny
i wraca na dyskotekę.

Teraz, kiedy po skończonej pracy
Eddi przebiega park w powrot-
nej drodze do domu, zadowolony
jest ze swojej samotności i
myśli jego kraja wokół zdarzeń
dnia minionego. Jeszcze raz prze-
mierza trawnik, na którym, w tej
śmiesznej porannej zabawie,
przytłapali go Julia i Dominika,
a później zagłębia się w alejce o-
świetlonej tylko blaskiem księży-
ca. W pewnym momencie do-
strzeżga ciało leżące na ziemi
człowieka. Nieuchomieje w odr-
uchowi uświadomienia, z którym
powoli zaczyna się mieszać uczu-
cie niezrozumiałego strachu. To
miejsce i chwila są punktem, w
którym krzątują się wszystkie
fikcje Eddiego, mimo bezwzględ-
nej pogody, słyszy spotegowany
szum wiatru i dźwięk repetowa-
nego pistoletu. W pamięci fikcyj-
na przeszłość zajmuje już miej-
sce tej drugiej, o której niczego
nie wie z pewnością, nawet, że
jest fałszywa. Myśl jego porusza
się niczym nie istniejąca pilecka
tenisowa. Eddiego ogarnia uczu-
cie, jakby nadeszła chwila, kiedy
znalazł się w ostatnim punkcie
labiryntu, po którym beznadziejnie
poruszał się z taką nonszalancją.
Teraz potrzebna jest nowa decy-
zja.

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

ZAWÓD PREZENTER

czych o papier miesza się głos
matki, namawiającej, aby wróci-
ła do pracy modelki, która stwa-
rzała jej możliwości kontaktów i
przyciągała zainteresowanie męż-
czyzn. W narzekaniach matki El-
żbieta czuje niewypowiedziany żal
z tego powodu, że ona, Elżbieta,
nie umie się dobrze sprzedać, że
jej uroda zapewnia powodzenie,
które trzeba umieć wykorzystać,
że nie powinna się zagrzebywać
w tej monotonnej pracy, odbiera-
jącej jej szansę, ale Elżbieta wie,
iż matka nigdy nie rozumie fa-
ktu, że ona nie chce uleżeć tej
miłośności życia, które ukrywa nu-
dę w pozorach wygody i dobro-
bytu.

Teraz, kiedy opancerzone drzwi
ustąpiły lekko, Cichy czuje się
już zwycięzcą, ruchem ręki, ge-
stem sukcesu nawołuje tamtych,
którzy jeszcze nie wiedzą, że
wszystko poszło tak łatwo. Ani-
mals nie wierzy własnym oczom,
które powoli przyzwyczajają się
do ciemności, ale po chwili wi-
dzi, jak Dzikie buszuje wśród za-
granicznych butów. Cichy wie, że
jeśli wszystko powiedzie się bez
przeszkód, będzie to koniec jego
poniżenia, ale rozumie, że trze-
ba to zrobić szybko, jak najszybciej,
więc przedko przetrzała za-
graniczne dżinsy, zdejmując z
siebie wytarte spodnie, aby za-
brać się do przymierzania. Ani-
mals porzuca zabawę zapalniczkami
i rzuca z siebie ubranie, teraz
i on naciera na swoje błę-
dnie nowiutkie Wranglery, potem
grzebie wśród koszul i kiedy
ubiera sztruksowa kurtkę, odczu-
wa nieznaną radość przelotczności.
W tej chwili nie jest już
żółtem spod budki, jego wy-
gląd pasuje już raczej do wne-
trza zagranicznego samochodu,
więc śmieje się wyobrażając so-
bie, jak będzie nabierał dźwię-
czy, które go nie znała. Teraz,
kiedy Cichy daje sygnał do odej-
ścia, Dzikie nie rozumie jeszcze,
dlaczego Animals przebiera wśród
damskich ciuchów, ale za mo-
ment zdaje sobie sprawę, że jest
to dobry pomysł, i kiedy schyla
się, aby zabrać stare ubrania, z
żalem myśli, że można stąd
wziąć tak mało.

Teraz, kiedy matka przestała
już mówić, nie znajdując dla
swoich myśli żadnego oddźwię-
ku, Elżbieta wie, że nie musi u-
dawać już takiego skupienia. Nie
przerwywając przepisywania, zwol-
niwszy tylko jego tempo, zastana-
wia się, jak może spędzić czas
z chłopakiem, którego odwiedzić
się spodziewa. Na początek her-
batka w domu, a potem trzeba
będzie uwolnić się od towarzy-
stwa matki, najlepiej wychodząc
do kina. Tylko lepiej nie cho-
dzić na żaden film zachodni, aby
się nie rozdrażniać dobrobytem,
aby luksusowe samochody, wne-
trza mieszkalne nie kusily do te-
go, do czego namawia matka.
Elżbieta przerywa pisanie, prze-
kręca galkę radiodbiornika, z
którego rozlega się muzyka i
wtedy słychać dźwięk dzwonka.

dział czynny uczestniczyć w mu-
zyce, dla wspólnej emocji i entu-
zjazmu nie było już barier sceny.
Nad doborem najnowszych
nagrań czuwał disc-jockey, który
prowadził zabawę. Pod koniec
lat sześćdziesiątych w krajach
socialistycznych zorganizowano
pierwszą dyskotekę w czeskiej
Pradze. Niedługo potem w ten
sam sposób bawila się już mło-
dzież w Polsce w Trójmieście.
Następne dyskoteki zorganizowa-
no w Warszawie, Wrocławiu,
wkrótce na dyskotekach tańczyła
już młodzież wszystkich wiel-
kich miast w Polsce. Prowadzący
zabawę disc-jockey został u-
nas nazwany prezydentem. — El-
żbieta z wyrazem niesmaku gasi
radiodbiornik i Eddi wie, jakie
znaczenie ma ta czynność, więc
coraz bardziej utwierdza się w
przekonaniu, że jest tu niepo-
trzebny. „Nie dajesz nikomu nu-
meru mojego telefonu? Jakis
szczeniak zawraca mi głowę,
Dzwoń ciągle o tej samej porze”.
Eddi uśmiecha się do siebie i
widzi, jak Elżbieta, zajmując
miejsce przy maszynie, przysto-
wuje się do pisania. Teraz Eddi
przerzuca wzrok na matkę (która
ze znaczącym wyrazem twarzy
usuwa się do kuchni) i zdaje so-
bie sprawę, że jest to przyszłość
zupełnie zbyteczna. Przysiadłszy
na tapczanie widzi, jak ona wy-
jmuje paczkę Klubowców, w któ-
rej nie ma już papierosa, w tej
chwili jest mu właściwie głupio:
w wyciągniętej dłoni trzyma pu-
dełko Benson and Hedges i nie
jest to poczustunek, ale propozy-
cja zbliżenia się do niego. Więc
kiedy zwałił ją już na tapczan,
kiedy czuje jej bierna uległość,
że złością gniecie w dłoni sztyw-
ne opakowanie po papierosach,
Elżbieta bawi się jego długimi
włosami, ale Eddi czuje, że w tej
zabawie traktuje go jak dziecko.
„Prezenter... idol... bożyszcze no-
wego pokolenia... już zapomnia-
łeś, że masz na imię Edek... co
ty właściwie robisz?... czym się
zajmujesz?... prezenter... cile ży-
cie będziesz prezenterem, ale kto
ciebie zaprezentuje... i daj mi
spokój... ja mam poważne rzeczy
na głowie... co ty właściwie ro-
bisz?... czym się zajmujesz?... co
cie interesuje?... — „Lubię atra-
py... lubię przedmioty sztuczne,
które udają, że są prawdziwe...
nie są użyteczne, ale przynaj-
mniej mogą być interesujące...
lubię mnie wszystko, co istnieje
zgodnie z przeznaczeniem... lubię
sztuczne kwiaty, koncentraty spo-
żywcze i ludzi, którzy przestali
być naturalni...” Eddi przypała
papierosa i zastanawia się nad
tym, co powiedział: nie wie, czy
jest to prawda, czy tylko kokie-
teria.

Animals nie myśli już o tam-
nym, o tej chwili strachu, stara
się wyraźnie wymawiać wyuczo-
ny, niezrozumiały tekst piosenki,
która śpiewa, usta jego wypowia-
dają słowa refrenu: „solej, solej”,
i z zadowolonym patrzy na swo-
je ręce, które poruszają się przy

POEZJA
VESNY PARUN

Znane jest porównanie literatury do okna, przez które jedne narody przypatrują się drugim. Wysiłkiem tłumaczy jest, aby okno to otworzyć jak najszerzej. Niemniej, ciągle jeszcze odrabiamy dawne zaległości.

Wiek cały minął, nim doczekaliśmy się w tym roku pełnego polskiego wydania słynnych „Piesni Maldorora” Lautreamonta. Prawie tyle samo czasu dzieli powstanie głośnej powieści „A rebours” („Na wspak”) Huysmansa od jej polskiego przekładu. Ukazał się on w zeszłym roku.

Wiele podobnych przykładów można także znaleźć w dołbrze, zdawałoby się, poznanym kręgu literatury słowiańskiej.

Najlepiej jest tu z poezją rosyjską i radziecką. Niemala to zasługa łódzkiego tłumacza. Toteż poezja rosyjska dominowała dotąd w polityce przekładowej Wydawnictwa Łódzkiego. Ale w końcu ubiegłego roku łódzka oficyna zaproponowała nową serię przekładów pod nazwą „Biblioteka Jugosłowiańska”. Pierwszą książką w tej serii jest wybór poezji Vesny Parun — „Zaproszenie do ciszy” w przekładzie i ze słowem wstępnym Bożeny Nowak.

Vesna Parun urodziła się w 1922 roku, jest więc rówieśniczką naszego pokolenia „Kojumbów”, pokolenia Bratnego i Różewicza. Mimo to jej twórczość — w przeciwieństwie do paru młodszych jugosłowiańskich poetów, np. Pavlovića czy Slavicki — dość późno doczekała się polskiego wydania. Nawet w poświęconym przed dwoma laty liryce jugosłowiańskiej antologii numerze miesięcznika „Poezja” zabrakło dla Parun miejsca. Tymczasem Vesna Parun należy wciąż, obok Jure Kaszićana, do dwóch najwybitniejszych poetów chorwackich.

Dziś Vesna Parun jest autorką kilkunastu tomów wierszy. Przekłada także poezję, pisze dramaty i utwory dla dzieci. Jej poezje tłumaczono na wszystkie niemal języki Europy. Była wielokrotnie nagradzana i wyróżniana.

Ale wbrew pozorom kariera poetki Parun nie była od początku usłana różami. Jej debiut ukazał się w 1947 roku, w okresie, kiedy w literaturze chorwackiej dominował ton zaangażowania i agitacji politycznej. Parun swą poezją dowodziła, że to liryka nie może niczym służyć. Jak pisał we wspomnianym zeszycie „Poezja” jugosłowiański krytyk Branimir Donat „po rozdeleniu Kočića od Państwa, rozdzielił literaturę od Państwa, zda się być wielką zdobyczą tych poetów” jak właśnie Vesna Parun. Niepokojący ówczesny krytyki wzbudzały zwłaszcza: intymny, osobisty krąg przeżyć, subiektywizm widzenia graniczący z poetyckim egocentryzmem, zaduma nad zgola nieradosnymi zjawiskami: samotnością i śmiercią. Ale zarzuty „dekadentyzmu” czy „aspoczeńności” o tyle w tym wypadku nie mają sensu, że obrona indywidualizmu u Vesny Parun nie odbywa się w linii potępienia społeczności. Człowiek w tej poezji reprezentuje to wszystko, co najbardziej dla ludzkości istotne i wartościowe. Poezja ta odkrywczo realizuje, jakby swa poznawczą funkcję, powraca do spraw najprostszych, najważniejszych i próbuje definiować je: „Odwieczna i cicha jest miłość, tajemne serce ziela/kios drżący i zawsze niespokojne morze. Miłość to ziemi eliksir, ptak zamysłowy, na kolowrotku kądziel, topola o wieczorze”.

Poezja Parun jest poezją żywiołów: miłości, morza, Natury. Zdaniem francuskiego filozofa Gastona Bachelarda, można różne typy wyobraźni ludzkiej oznaczać przy pomocy żywiołów materialnych: ognia, wody, ziemi i powietrza.

„Każdy przyzywał kiedyś swoją rzekę — powiada poetka — Lecz woda płyniła, a człowiek wciąż sam”. Sam, ale nie tyle wobec ludzi, co wobec Natury („sama z tymi kwiatami”: morza, słońca, trawy, która „jest doskonałością”, horyzontu. Ale człowiek ma szanse zatracenia w przyrodzie swej „niepojętej samotności”: „Jestem sama i mogłabym umrzeć za jedno niezbędne słowo jednoznaczne mnie z ziemią” — mówi poetka w „Psalmach bezpłodnej”. Stąd w poezji tej głęboki, mistyczny animizm, łączący rośliny, zwierzęta i ludzi.

„Wyrosliśmy sami jak rośliny” — powiada Parun i oświadcza swą „wierność wydom” wobec paru jakże nietrwałych ludzkich, choć tak „zabójczych prawd”.

TOMASZ
SOLDENHOFF

Vesna Parun, Zaproszenie do ciszy, Wybór wierszy, Przekład z serbsko-chorwackiego Bożena Nowak, Łódź, 1976, cena zł 14,—.

JACEK INDELAK

POSTOJOWE
„Wizamet”

I.

Łódzkim Zakładem Wyrobów Metalowych „Wizamet” laurki są niepotrzebne. Opuszczające ich taśmę produkcyjną żyłki „Polsilver” czy „Irydium” oceniane są dzień w dzień przez miliony gojących się nimi Polaków. Zaden chyba produkt przemysłowy nie jest poddawany tak systematycznej i masowej kontroli. Żyłkami wielokrotnego użytku polskiej produkcji golimy się już dziesięć lat. W sześćdziesiątym siódmym roku została zakupiona licencja od angielskiej firmy „Wilkinson Sword”, której wbrew pewnym zakusom nie ulokowano w Rawie Mazowieckiej („Krwawa Rawa” czyli żyłka „Rawa-Lux”). Lecz powierzone Łodzi, która w tym już czasie była dość daleko zaawansowana w pracach, zmierzających do uszlachetnienia powierzchni ostrza.

W pierwszym roku „Wizamet” wyprodukował trzy miliony nowych żyłek. Tegoroczna produkcja sięgnie już trzystu osiemdziesięciu milionów. Milion trzysta tysięcy sztuk w ciągu doby produkcyjnej. Masówka więc, a reklamacji niewiele: mieszczą się w ulamkach promilla. Uszadondionych — jeszcze mniej.

Wadliwa żyłka nie ma prawa opuścić zakładu — taka jest generalna zasada, jaką na co dzień muszą respektować wszyscy jego pracownicy. W kontrolę jakości angażuje się tu nie mniej czasu i wysiłku niż w samą produkcję. Kto wie, może nawet więcej? Produkują przecież maszyny a sprawdzają — ludzie.

Ludzie z „Wizamet” — to w większości młodzież. Co trzeci pracownik nie ukończył dwudziestu pięciu lat, dwie trzecie załogi ma mniej niż trzydziestkę. Co drugi brygadista nie ma jeszcze trzydziestu lat, co trzeci kierownik — nie ukończył trzydziestu trzech. Załoga więc młoda, chociaż zakład stary: w przyszłym roku obchodzić będzie osiemdziesięciolecie. Początki były skromne, produkcja prymitywna: jakieś śruby, złącza budowlane i kolejowe, nitki, siatki. Przełom pierwszy nastąpił przed trzynastoma laty, kiedy zakład z ulicy Wodnej połączył się z fabryką żyłek („Ekstra-Łódź”) i wytwórnią siatek ze Zgierza. Przełom drugi — ważniejszy — z momentem uruchomienia produkcji „Polsilverów”.

Zakład już nie ten sam, co ongiś. Inna produkcja i inna załoga, u której bardziej niż doświadczenie liczą się kwalifikacje. Co dwudziesty pracownik ma wykształcenie wyższe, co trzeci — średnie, czterdzięci zaś procent załogi ukończyło zasadniczą szkołę zawodową.

II.

Sercem zakładu jest dziś centrum sterowania jakością, które uruchomiono w zeszłym roku. Funkcję dyspozytora centrum pełni na tej zmianie Jolanta Witczak. Młode dziewczę w białym fartuchu, zasiadające za pulpitem sterowniczym, pełnym lampek sygnalizacyjnych i kolorowych przycisków. Trudno aż uwierzyć, jak wielką ma ona wiedzę w swych rękach. Wcisnięcie guzika, parę słów do mikrofonu i już gdzieś tam stają maszyny! Inny przycisk — i meldują się kolejno odpowiedzialni pracownicy produkcji, raporty składają. Kolejny guzik — i na ekranie monitora pojawia się mikroskopowy obraz

powiększonej tysiące razy żyłki. Grając na przyciskach, jak na klawiaturze fortepianu, ustalić można błyskawicznie czy właściwie przebiega produkcja, czy parametry każdej fazy obróbki są prawidłowe, czy kontrola jakości czuwa. W razie wystąpienia nieprawidłowości czy uchybień: alarm! maszyny stop!

Centrum pracuje nie tylko w momentach zagrożenia jakości. Pracuje nieprzerwanie także i wówczas, gdy proces technologiczny przebiega bez zakłóceń. Dyspozytor co kilkanaście minut łączy się z kolejnymi stanowiskami kontroli, zbierając dane i parametry, które zostają umieszczone w specjalnych raportach. Raporty zaś poddawane są systematycznym wnikliwym analizom.

III.

O ile centrum sterowania jakością nazwać można sercem zakładu, o tyle laboratorium badawczo-doświadczalne zasługuje na miano mózgu. Centralne miejsce w laboratorium zajmuje aparatura tak nietypowa, że przywodziła na myśl raczej film gatunku science-fiction, aniżeli codzienna praktyka przemysłowa. Jest to ogromna szafa z dziesiątkami pokręteł i przycisków, wyłączników i przełączników, monitorów i przyrządów pomiarowych. Mikroanalizator rentgenowski. Jedyny w Łodzi i jeden z nielicznych w całym kraju. Ten — wyprodukowany przez japońską firmę „JEOL” — pełnić może zarazem rolę mikroskopu elektronowego typu skaningowego, rzutuującego na ekran monitora powiększenia od kilkunastokrotnych do stu tysięcy, a dającego przy tym obraz z nadzwyczajną dużą ostrością.

Za pomocą tego urządzenia badamy szczegółowo surowiec i produkt, przebieg i wyniki procesu technologicznego. — Inż. Witold Wendorf, zastępca kierownika działu kontroli jakości, demonstruje działanie mikroskopu. — Badamy strukturę taśmy stalowej, wtrącenia niemetaliczne. Prowadzimy badania wyników poszczególnych operacji, zwłaszcza zaś szlifowania i polerowania. Dokonujemy również dokładnych badań struktury chemicznej, a także innych pomiarów, których wyniki pozwalają na utrzymanie jakości na stałym poziomie.

Laboratorium prowadzi też prace badawcze o charakterze perspektywicznym. Ostatnio, na przykład, trwały tu prace nad stworzeniem kolejnego typu żyłki, jeszcze doskonalszej, jeszcze żywotniejszej. Nowa żyłka, która otrzymała nazwę „Irydium-Super”, trafi do sklepów w najbliższych tygodniach.

IV.

Serce i mózg. Pora na organizm, którego pokarmem jest stalowa taśma o grubości dziesięć części milimetra, zwinięta w wielkie, ciężkie kęgi, a sprowadzana ze Szwecji, Anglii lub Japonii. Taśma ta przewędruje w kregach całej niemal załogi, ustawicznie z nich rozwijana i z powrotem nawijana, zanim zostanie pocięta na pojedyncze żyłki. Obiegami kregów zawiadują dyspozytorzy z rozdzielni. Dokładną ścieżką i kontrolę zwojów prowadzi Urszula Nowakowska.

Pierwszy etap obróbki — to perforowanie taśmy, wycinanie w niej otworów i nadawanie brzegom odpo-

Studenci — jak to studenci — zrobili kawal: nie golili się przez kilka dni. Kiedy wzięli do rąk zaplombowane aparaty, poczynając skrobać namydlone brzo, przedstawicielom „WIZAMETU” ciarki po grzbietach łązić zaczęły. Niepotrzebnie zresztą. Okazało się, że osławiony „Gillette” czy „Wilkinson” nie są wcale groźnymi konkurentami dla „Polsilvera”. I to nie dla „Polsilvera” wychuchanego, podrasowanego jak rajdowy „Fiat”, lecz — dla pierwszego z brzegu, kupionego na cenzurowane polską żyłkę, skrupulatnie zadbał o to, aby rzecz cała odbyła się bez machlojek. Nie chcieli zrobić ze swego programu laurki. I dobrze.

wiednego kształtu. Taśma odwiją się z dużą szybkością. Automaty do perforowania wykonują trzysta tysięcy nacień na minutę. Tempo i wydajność — ogromne. Byłyby jeszcze większe, gdyby nie to, że co jakiś czas każdy perforator zostaje zatrzymany.

Mniej więcej co dziesięć minut dokonujemy dokładnych pomiarów grubości i szerokości taśmy, oceniamy jakość jej powierzchni — mówi Wiesław Marzec, pracujący przy jednym z automatów. — Jeśli tylko któryś z pomiarów daje wyniki negatywne, cały krąg taśmy, bądź jej odpowiedni fragment, zostaje zdyskwalifikowany i wyłączony z normalnego cyklu produkcyjnego.

Po perforowaniu nawinięta żnów taśma przewieziona zostaje na następny oddział produkcyjny, gdzie poddawana jest obróbce cieplnej, służącej utwardzeniu ostrza, czyli — potocznie mówiąc — jego hartowaniu. Obróbka — grzanie, wygrzewanie, schładzanie — przebiega automatycznie w kilkustrefowych piecach tunelowych. Po przeprowadzeniu chemicznej pasywacji taśma trafia na stanowisko kontroli jakości. Za pomocą specjalnego urządzenia — zwanego przegłdarko-zgrzewarką — usuwa się z kręgu odcinki taśmy, które wzbudzają jakiegokolwiek technologiczne wątpliwości.

Tak przygotowana taśma przechodzi przez automatyczną drukarkę, pokrywającą jej powierzchnię firmowymi znakami, które są następnie wypalane. Dalej taśma zakłada się na automaty do szlifowania, które wykonują je w trzech fazach: zgrubnej, średniej i wykończającej. Dzięki trójfazowości większa jest precyzja, wyższa też jakość ostrza.

Zanim oszlifowaną taśmę wciągną automaty polerujące — trafia ona pod mikroskop, ustawiony obok każdej maszyny szlifierskiej.

Badamy pod mikroskopem kąty ostrza w każdej z trzech faz szlifowania, a także powierzchnię bazy po oszlifowaniu — mówi Jan Mider, obsługujący jeden z mikroskopów. — Rzecz jasna, że po stwierdzeniu najmniejszych nawet odchyłu od normy, natychmiast zatrzymuje się maszynę i przywraca właściwe parametry.

Stosy żyłek wędrują pod niebieskie światło, czyli na stanowisko szczególnie surowej kontroli jakości. Niebieskie światło jest tu konieczne, gdyż tylko ten kolor pozwala na zauważenie wadliwych żyłek. Migające w rękach Wandy Kędzierskiej i Zofii Matyi stosy żyłek przypominają o zawrót głowy i migotanie w oczach, które to objawy wydają się nie wtajemniczonym obserwatorowi całkowicie uniemożliwiać uważnie wybrakowanej żyłki. Z tym większym podziwem obserwować można błyskawiczne tempo, z jakim kontrolerki usuwają ze stosu żyłki z nieznanie uszkodzonym ostrzem czy brydykim nadrukiem. Podziw jeszcze większy, bo czynią to, nie pomagając sobie palcami, nie dotykając w ogóle żyłek, nasadzonych na specjalne uchwyty.

Kontrola jest wielostopniowa. W następnym pomieszczeniu znowu liczne mikroskopy i przyrządy pomiarowe. Ba, jest tu nawet specjalny symulator „golenia się”.

— Dzięki temu prostemu urządze-

niu — mówi jeden z pracowników kontroli jakości, Jacek Zawadzki — możemy precyzyjnie określić, jak ta czy inna żyłka sprawować się będzie w czasie kilkakrotnego używania. Wobec stwierdzenia jakiegokolwiek nieprawidłowości dyskwalifikujemy całą partię żyłek, nie przekazując ich, oczywiście, do dalszej obróbki.

Dalsza obróbka, to uszlachetnianie powierzchni ostrza. W przypadku „Irydium” — chromowanie i teflonowanie, w przypadku „Polsilvera” — tylko pokrywanie teflonem, czyli polichloro-fluorotetraetylenem, jak brzmi pełna nazwa tego tworzywa sztucznego.

Żyłki są już gotowe. Jeszcze tylko konserwacja ostrza i pakowanie, też mechaniczne. Pakowanie żyłek — z szybkością 120 tysięcy sztuk w ciągu jednej zmiany na jednej maszynie — w bobiny, koperty, kartonowe pudełka czy plastikowe dyspensery.

Człowiek nie ma u nas prawa się pomylić — stwierdza kierownik zakładu produkcji nożyków, Jerzy Roksa — maszynom zdarza się to jednak od czasu do czasu. Zwłaszcza błędów mechanicznych pakowaczek nie da się, mimo wszelkich środków zapobiegawczych, wyeliminować całkowicie. Pociągamy się tylko tym, że mamy pod tym względem nie więcej potknięć niż najbardziej znane w świecie firmy.

V.

Siedzimy w gabinecie dyrektora naczelnego — mgra inż. Konrada Kocińskiego.

Dyrektor prezentuje inne wyroby zakładu, które stanowią wprawdzie margines, ale margines na rynku widocznego. Popularne aparaty do golenia „Junior P-1” (w tym roku 960 tys. sztuk), aparat z rozchylaną głowicą „Senior W-6” (220 tys.), aparat „Elegant W-10” (45 tys.), zmodernizowany „Elegant W-11” (25 tys.), strzyżarka „Cyrułik” (100 tys.), a wreszcie łopatką kulinarna (22 tys.), obierak (15 tys.) i sektor ogrodniczy (10 tys.). Połowa wyrobów zdobyła już znak jakości. Wszystkie mają znakomite opakowania — dzieło zakładowych artystów: Zbigniewa Jęsiaka i Haliny Ducek.

Renoma, jakość — zgoda, ale spoczywać na laurach? Nie iść wciąż do przodu? Właśnie, polska żyłka — nie przeczę, że znakomita — ma już dziesięć lat, a świat tymczasem poszedł do przodu, podejmując masową produkcję „Wilkinson”, „Schick” (etc.) tak zwanych półowkowych aparatów i żyłek. Dotarły one również do nas. Znaczący do „Pe-wexu”!

Czas najwyższy, żeby „Wizamet” znów świat dogonił. Nie tylko zresztą to trosce o nas — rodaków, lecz także z myślą o eksporcie, który łądą moment może się uciąć, a przecież mamy spore nadwyżki żyłek. Od dwóch co najmniej lat na różnych szczeblach słyszy się obietnice, że już lała moment, póki nie jest całkiem za późno, „Wizamet” podejmie produkcję polskich „połowek”. A sam „Wizamet”? Jak na razie, uchyla się od odpowiedzi na pytanie: kiedy? Ba, nie potrafi nawet — czy nie chce — odpowiedzieć: czy w ogóle?!

POMIDORY I PASKI KLINOWE

Dalszy ciąg ze str. 1

Pojęcie ogrodnika jest u nas trochę zdeprecjonowane. O jego pracy na ogół wiadomo tyle, że roślinki mu rosna i później je sprzedaje, wcale że na tym nie wychodzą. Może trochę upraszczam, ale daleko od prawdy nie jestem. Ogrodnikom jest dobrze — mówią ludzie — klimat im nie straszny, wszystko mają pod szkłem, wystarczy tylko dobrze napalić.

Są — oczywiście — ogrodnicy, których można byłoby nazwać chałupnikami, którzy uprawiają warzywa lub kwiaty na niewielkiej powierzchni i sa ogrodnicy przedsiębiorcy. Jest również pod Łodzią ogrodnik przemysłowiec. Myślę o Kombincacie Ogrodniczym w Widzewie-Zdżarach.

Na miejscu od razu mi wyjaśnię-

no, że nie ma nazwy Widzew-Zdżary, bo są to dwie różne miejscowości, ale myślę, że owe „Zdżary” dodaje się do Widzewa, aby odróżnić go od innego Widzewa, który jest dzielnicą Łodzi i położony jest z drugiej strony miasta. Ale było to nie pierwsze wyjaśnienie tego dnia, kiedy odwiedziłam przemysłowego ogrodnika pod Łodzią.

Najpierw prezentacja. 13,5 hektara pod szkłem, w tym 12 hektarów w szklarniach pobudowanych przez Bułgarów i 1,5 hektara w szklarniach polskiej konstrukcji. Poza tym: 10 hektarów pod warzywa gruntowe, 70 hektarów sadu, do tego pola uprawne i hodowla. Co roku dają przetworów owocowych i warzywnych o wartości od 7,5 do 8 milionów zł.

Dalszy ciąg na str. 6



Foto: W. Parys

POMIDORY i PASKI KLINOWE

Dalszy ciąg ze str. 5

Są to przeważnie kompoty i ogórki konserwowe, a przetwory te kupują również zagranicznymi kontrahentami.

Do Kombinatu Ogrodniczego w Widzewie-Zdżarach należą dwa bloki mieszkalne i hotel. Jest tu szkoła zawodowa ogrodnicza i technikum ogrodnicze. Załoga młoda, wielu uczy się pracując jednocześnie. Uczą się w szkołach średnich i na wyższych studiach. A załoga to nie taka wielka, bo — nie licząc pracowników administracji i kadry inżynierskiej — jest ich 440 osób.

Stąd, z Widzewa położonego między Łodzią a Pabianicami, dostarcza się do łódzkich sklepów prawie połowę wiosennych i jesiennych pomidorów i ogórków. W tym roku w kombinacie powinno być: wiosną do 500 ton ogórków i do 1.000 ton pomidorów. Jesienią — samych tylko pomidorów 500 ton.

Teraz można spokojnie wrócić do pytania, które mnie przywiodło do Widzewa pod Pabianicami: — a więc, dlaczego tej wiosny tak późno pomidory dotarły na rynek?

Odpowiedź okazała się prosta: — Bo tej wiosny mało było światła, a pomidorom, aby mogły zaowocować potrzebna dużo światła. Ogórek pod tym względem nie jest tak wymagający i z ogórkami nie było kłopotów.

Na tym właściwie można byłoby poprzestać. Odpowiedź otrzymałam. Wystarczającą, ale chciałam zobaczyć jeszcze szklarnie. Ich ogrom można najlepiej ocenić, kiedy wejdziesz się na zbiornik mazutu, którym tutaj pali się pod kotłami ciepłowni. Na zbiornik jednak nie wszedłam, wystarczył mi spacer po nawach pełnych roślin. Panuje w nich klimat wilgotnego lata. Temperatura, wilgotność i wietrze nie regulują automatycznie urządzenia. Nawy są szerokie i mogą swobodnie jeździć po nich ciągniki. Odległość są duże i pracownicy, dla ich pokonywania posługują się rowerami. Robi to wszystko duże wrażenie.

— To już jest nowoczesność — powiedziała mi wiceprezesa.

Mój przewodnik popatrzył na mnie ironicznie. — To zależy — powiedział — do czego się porówna. Jest do tego, co było przedtem, to owszem, ale jeśli do tego, co już robią inni, to jest to wątpliwa nowoczesność.

Nowoczesność w ogrodnictwie — z grubsza biorąc — polega na odizolowaniu się od naturalnego podłoża oraz na ograniczeniu pracy ludzi do niezbędnych czynności. Nowocześnie ogrodnicy, aby odciążyć się od szkodników, uprawiają rośliny na betonie pokrytym matami, do których sączy się automatycznie pożywka. Gdzie indziej stosuje się na przykład transport wózkowy, wykorzystując do tego celu rury wodociągowe lub ciepłownicze jako szyny. Szuka się różnych sposobów intensyfikacji upraw, aby wymusić na roślinie szybszą wegetację.

— U nas — powiedział mój przewodnik — próbujemy różnych metod, aby też izolować się od podłoża naturalnego. Zaczynamy na przykład

uprawiać rośliny w kontenerach. I choć metoda to dobra i powinna przynieść oczekiwane korzyści, to nie tak łatwo ją wprowadzić. Kontenery dostaliśmy. Ułożyliśmy je w 4 nawach. Do kontenerów potrzebne są tace, przy pomocy których reguluje się dopływ pożywki do roślin. Producenta znaleźliśmy aż w Rzeszowie. Spółdzielnie, bo wielki przemysł nie chce się zajmować takimi drobiazgowkami. Tace mieliśmy otrzymane w lutym. Otrzymałyśmy w kwietniu i w dodatku tak wykonane że część nie nadaje się do użytku.

W szklarniach panował klimat wilgotnego lata a ja ubrałam się jak na chłodną wiosnę. Mijałyśmy nawę po nawie, ale nie żałuję tego spaceru w innym klimacie, bo w mojej wyobraźni coraz wyraźniej kształtował się obraz pracy nowoczesnego, jakby nie było, ogrodnika. I w trakcie tego marszu okazywało się, że ogrodnik musi też być elektrykiem, mechanikiem, handlarzem, a także przebiegłości i wnikliwości nie powinny być mu obce.

Temperaturę, wilgotność i wietrze nie regulują automatycznie urządzenia. To prawda. Ale bułgarski producent szklarnianych urządzeń skompletował je z części pościąganych z całego świata. Wszystko to działa znakomicie, póki się coś nie zepsuje. A jak się zepsuje, to rodzi się zaraz nowy problem. Skąd wziąć jakąś część, której w Polsce nie produkuje i której kupić nie można? W Bułgarii działa specjalistyczna obsługa takich urządzeń i „pogotowie techniczne” przyjeżdża na telefonieczne wezwanie. U nas przed roktem POM w Trzyczęciu wziął na siebie obowiązek serwisowej obsługi, ale jak do tej pory ograniczył się tylko do pytań o potrzeby. Na papierze w Katowicach powstało też przedsiębiorstwo, które powinno zaopatrzać państwowe przedsiębiorstwa rolne we wszystkie potrzebne im części i urządzenia.

— I co — pytała mnie — I nie. Radzić musimy sobie — jak do tej pory — sami.

To całe szczęście, że w Widzewie pod Pabianicami są ludzie, którzy mają złote ręce i otwarte głowy. Kombinują, pasują, przerabiają, nawijają, przewijają, dorabiają i wszystko jakos działa.

— Nawet paski klinowe musimy dopasowywać — powiedziano mi w Widzewie pod Pabianicami.

Paski klinowe służą do poruszania palników pod kotłami szklarnianej ciepłowni. Paski klinowe — wyjąłoby się drobiazgi a dla ogrodnika przemysłowego z Widzewa pod Pabianicami to cały, wielki i skomplikowany problem. W takie paski Kombinatu Ogrodniczego Widzew-Zdżary powinien zaopatrzyć się w Przedsiębiorstwie Handlu Chemicznymi „Chemia” w Łodzi. Zaopatrywać się, to znaczy składać odpowiednie zamówienia. I składa. Ale „Chemia” nieodmiennie odpowiada, że takich pasków w Polsce nikt nie produkuje.

Ciepło do szklarni musi płynąć nieprzerwanie. Pod kotłami musi się palić. Silniki muszą obracać palniki, a nie zrobić tego bez pasków klino-

wych. Zaopatrzeniowcy jeżdżą więc po Polsce i kupują paski klinowe w „Motozbytach” i na stacjach CPN. Po kilka sztuk. Kupują też po kilka sztuk pasków, które idealnie pasują do ich urządzeń i są to paski produkowane przez „Stomil” w Poznaniu. Wysłano więc zamówienie do „Stomilu” w Poznaniu. Przeszła odpowiedź: prosimy złożyć zamówienie poprzez PHCh „Chemia” w Łodzi. A „Chemia” przecież odpowiedziała, że takich pasków nikt nie produkuje. Zaopatrzeniowcy więc znów do „Motozbytu” i CPN. Nie zawsze trafia się jednak na paski klinowe, których się poszukuje. Kupuje się więc inne, a później pasuje się je na szlifierce. Tylko, że wytrzymałość takich „pasowanych” pasków jest mniejsza.

Czasem potrzeba sprytu, a czasem „handlowej głowy”. Tak było z bezpiecznikami do stacji transformatorów. Za jeden bezpiecznik trzeba było dać... skrzynkę pomidorów, ale dzięki takiej wymianie zapas bezpieczników wystarczy na cały rok.

Rolnictwo zostało nie tak dawno podniesione do rangi ważnej dziedziny gospodarki narodowej. Ogrodnictwo jest częścią rolnictwa. O rolnictwie mówi się, że jest to produkcja pod gołym niebem. W Widzewie pod Pabianicami jest to produkcja pod szklanym dachem. Bez przesady można powiedzieć, że jest to „fabryka pomidorów i ogórków”. Jest to już uprawa na skalę wielkiego przemysłu. Ale widać nie wszyscy mają tę świadomość, bo kiedy mi wyliczono, czego jeszcze potrzeba tej „fabryce”, to prawda ta okazała się dość wyraźna.

A więc nie myśli się jeszcze o mechanizacji dla wielkich ogrodników. Brakuje folii, na którą zamówienia składa się na dwa lata na przed, z czego wcale nie wynika, że są one w całości realizowane. A folia potrzebna jest wielkim ogrodnikom do stosowania nowej metody upraw, która lepiej izoluje rośliny od podłoża ciągle narazanego na działanie szkodników. Potrzeba wielkim ogrodnikom nawozów, z którymi są ciągle wielkie kłopoty. Potrzeba środków chemicznych do zwalczania szkodników i pasożytów roślin.

Alle ogrodnictwo będzie się nadal rozwijało. Oto w pobliżu EC-IV, w Janowie, ma powstać nowa wielka szklarnia. Warto byłoby przy jej budowie wziąć pod uwagę gorzkie doświadczenia kombinatu z Widzewa pod Pabianicami, zwanego też Widzewem-Zdżarami. Warto w ogóle zacząć ogrodnictwo traktować poważnie.

W sklepach pojawiły się już pomidory. Klientów spragnionych nową leką nie te kłopoty producentów — świadomie używam tego przemysłowego określenia — nie muszą obchodzić. Klient ma rację, a ja mam nadzieję, że niektóre instytucje zobowiązane do niesienia pomocy ogrodnictwu i rolnictwu inaczej spojrzą na swoje obowiązki. Mamy prawo tego od nich wymagać.

BOGDA MADEJ

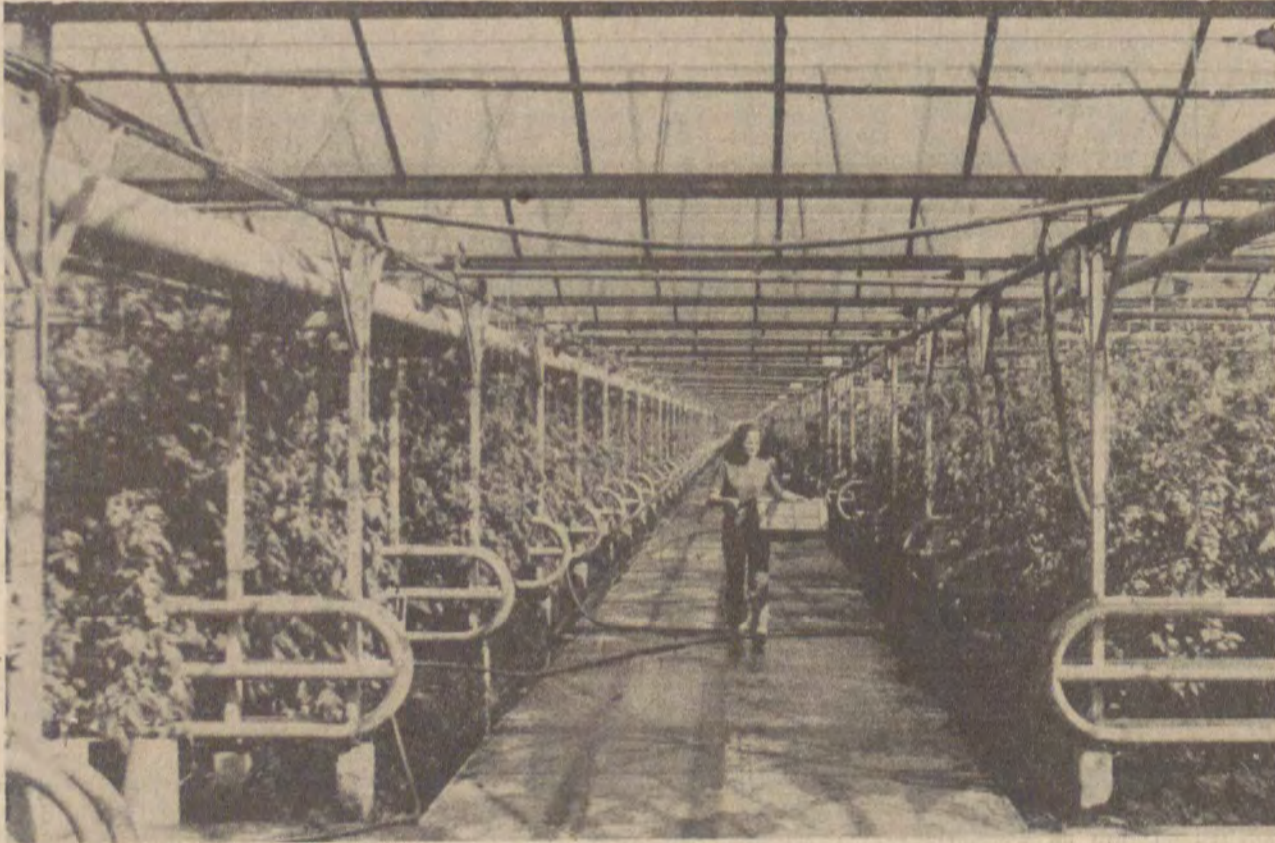


Foto: W. Parys

PAWEŁ PATORA

NIE TYLKO PRZECIWIW STONCE



LEPTINOTARSA DECEMLINEATA

Dalszy ciąg ze str. 1

chlorofenwinafosfu, który, mimo wysokiej toksyczności, był najlepszym znanym na świecie preparatem stonkobjęzycznym, a jednocześnie wśród nowych oryginalnych związków fosforoorganicznych o podobnej strukturze poszukiwaliśmy takich, które zachowując dużą skuteczność w zwalczaniu stonki odznaczałyby się niższą toksycznością.

Po dwóch latach żmudnych prac, prowadzonych wspólnie z Instytutem Przemysłu Organicznego w Warszawie, naukowcy tej Katedry Chemii Organicznej, pracujący dziś w Zespole Związków Fosforoorganicznych Instytutu Chemii Organicznej PL, znalezli poważny sukces. W roku 1969 otrzymali dwa nowe związki o strukturze analogicznej do chlorofenwinafosfu, nazwane „IPO-62” i „IPO-63”. Istniała nadzieja, że spełnią one stawiane wymagania.

Pewność miały przynieść dopiero tysiące drobiazgowych badań. Zwykle trwają one od pięciu do sześciu lat, gdyż dopiero po tak długim okresie czasu można dokładnie określić stopień szkodliwości substancji dla organizmów żywych. Otrzymane w PL preparaty badano w sześciu akademiach medycznych, w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, w Instytucie Weterynarii i wielu innych ośrodkach. Badaniom poddano m.in. szczury — zwierzęta znacznie bardziej wrażliwe na trucizny niż człowiek. Ostatecznie, stwierdzono znacznie mniejszą toksyczność nowych preparatów w porównaniu z chlorofenwinafosfem. „IPO-62” zaliczono do drugiej, a „IPO-63” nawet do trzeciej klasy trucizn.

Jednocześnie z próbami toksykologicznymi, od roku 1969 sprawdzano skuteczność nowych pestycydów. Setki szczegółowych badań tzw. polowych, w różnych warunkach glebowych, klimatycznych, w różnych okresach czasowych, wykazały, że preparat „IPO-62” efektywniej zwalcza stonkę niż „Birlane”. Jego skuteczność wynosi, zależnie od warunków zewnętrznych, od 200 do 300 gramów substancji czynnej na hektar. Nieco mniejszą skuteczność, rzędu 500 gramów na hektar, ma „IPO-63”, ale pamiętajmy, że odznacza się on dużo mniejszą szkodliwością dla istot żywych.

Działanie obydwu preparatów nie ogranicza się jedynie do zwalczania stonki. Niszczą one wiele innych szkodników. Znakomite efekty daje zastosowanie „IPO-62” przeciw pasożytom zwierząt domowych. Jest więc bardzo obiecującym lekiem weterynaryjnym. Pod nazwą „Ipowet” został on już wprowadzony do produkcji w Zakładach Chemicznych „Organika — Azot” w Jaworznie. Jego niska toksyczność tzw. dermalna ma duże znaczenie dla przemysłu garbarskiego.

Zakłady w Jaworznie będą wytwarzać rocznie kilkadziesiąt ton nowych preparatów. Mamy zatem dwa oryginalne polskie pestycydy, i to najlepsze ze znanych obecnie na świecie. Nie więc dziwnego, że polski patent numer 79031 (zgłoszony 29.XII.1969 r.)

rozszerzono na 12 krajów świata. Korzyści dla gospodarki narodowej, choć trudne do przeliczenia na złotówki, są ogromne. Oprócz dodatkowej produkcji żywności uratowanej od zniszczenia przez pasożyty, oprócz wyleczonych dzięki nowym lekom zwierząt, przybywa krajowi sporo dewiz. Sukces polskich chemików sprawił bowiem, że obecnie ważniejsze wynalazki w zakresie badań nad środkami ochrony roślin zgłaszane są do opatentowania w PRL. Polska stała się więc cenionym (a zarazem niebezpiecznym, bo konkurencyjnym) partnerem państw produkujących w tej dziedzinie. Oprócz rosnącej liczby zgłoszeń patentowych, świadczą o tym ogromne zainteresowanie, jakie wzbudziły informacje o polskich osiągnięciach na III Międzynarodowym Kongresie Pestycydów IUPAC w Helsinkach w roku 1974. Już obecnie do Instytutu Przemysłu Organicznego w Warszawie zwracają się liczne firmy zachodnie starające się o zakup licencji. Istnieją też realne szanse na to, by pestycydy stonkobjęzkie stały się „polską specjalnością” w RWPG.

Tak wielki sukces zawdzięcza polska chemia kilkunastoosobowemu zespołowi pracowników naukowych i technicznych, a głównie prof. dr hab. Andrzejowi ZWIEZAKOWI, doc. dr Ryszardowi BODALSKIEMU i dr Jerzemu MIKOŁAJCZYKOWI. Źródło sukcesu widzą oni w stałym nawiązaniu prac o charakterze podstawowym z tzw. badaniami stosowanymi.

Chemicy z Politechniki Łódzkiej nie spoczęli na laurach. Obecnie, w ramach koordynowanego przez Instytut Przemysłu Organicznego problemu węzłowego o nazwie „Rozwój i unowocześnienie pestycydów”, prowadzą poszukiwania nowych preparatów owadobójczych. Prace te mają tym większe znaczenie, że owady, jak wiadomo, po kilku latach uodporniają się na działanie wszelkich środków ochrony roślin. Tak więc insektycydy doskonale dziś, w przyszłości mogą się okazać za mało skuteczne. O intensywności prac zespołu świadczy dobitnie kilka liczb: tylko w latach 70-tych opatentowano 16 wynalazków, a dalszych 12 zgłoszono do opatentowania, opublikowano 9 oryginalnych prac w literaturze fachowej, były też komunikaty na konferencjach naukowych, był doktorat.

Prowadzone w Instytucie Chemii Organicznej badania pozwoliły na zsyntetyzowanie ok. 300 nowych związków, które poddano ocenie biologicznej w Zakładzie Stosowania Pestycydów IPO w Warszawie. 60 z nich dopuszczono do dalszych badań. Jeśli choć jeden okaże się wart zastosowania, będzie to już kolejnym wielkim osiągnięciem łódzkich chemików. Na świecie wprowadza się do produkcji przeciętnie jeden spośród pięciu, a nawet sześciu tysięcy otrzymywanych w laboratoriach związków owadobójczych. Naukowcy z PL uzyskali 300, a już wiedzą, że co najmniej dwa z nich będą wprowadzone na rynek.

Sensacyjna i kontrowersyjna sprawa karna adwokata Paplińskiego wywołała w tutejszym świecie prawniczym i dziennikarskim duże zainteresowanie i rozbieżne opinie co do przewidywanego wyroku.

Sala Kolumnowa była tym razem wypełniona publicznością po brzegi. Wstęp za biletami. Tylko dzięki znajomości z woźnymi sądowymi nie miałem trudności ze wstępem na salę, chociaż przyszedłem z opóźnieniem i trafiłem akurat na zamknięcie przewodu sądowego. Nie było ani jednego wolnego miejsca.

Staliśmy za kolumnami, pod ścianą, i stamtąd obserwowałem ostatnią fazę rozprawy, w której przemawiał mianem prokuratora, a po nim — obrońca.

Mięsista twarz Paplińskiego nabiegała krwią. Wymachując ręką polemizował z prokuratorem.

Przewodniczący stukał wiecznym piórem w stół.

Z rozgardiaszu stuków i głosów mogłem wyłowić tylko słowa Paplińskiego: Insynuacja! Wyleczki osobiste! Protestuję!

Nagle wszystko ucichło i dał się słyszeć apodyktyczny głos przewodniczącego, że sąd będzie musiał wyciągnąć w stosunku do oskarżonego najdalej idące konsekwencje w razie dalszych usiłowań przeszkodzenia panu prokuratorowi w wypełnieniu jego obowiązków.

Mecenas wstał i usiłując wpłynąć na uspokojenie swego nieopanowanego klienta zdołał go wreszcie naklo-

nąć sprawę, był fakt, że Papliński przeczytał po obiedzie gazetę. Człowiek pozostający pod wpływem silnego wzruszenia z powodu spowodowanej czy nie spowodowanej (obojętne) obrazy, człowiek, który otrzymał cios pięścią w głowę, nie będzie zdradzał ochoty do poobiedniej lektury prasy i nie zasiądzie w fotelu, żeby z gazetą w ręce ułatwić sobie trawienie. Zamamiałem jeszcze i dlatego ten ważny szczegół, bo gdy przepisując zeznanie gosposi doszedłem do miejsca w protokole, gdzie mówiła o czytaniu gazety przez pana, pomyślałem o Paplińskim słowami Liviusza: Vae victis! Błada zwyciężonym! Rozumiejąc przez to, że Papliński przegra sprawę i nie go nie uratuje.

Szkoda, że usiadłem tak daleko, na linii ławy obrończej i ławy oskarżonych. Widzę Woyzbuna i Paplińskiego z profilu. Tu chyba jednak mówił Papliński. Po cóż by wstawał, gdyby nie przemawiał? Obowiązuje zasada, że do sądu przemawia się stojąc. A zresztą było to obojętne. Obaj utożsamili się do tego stopnia, że słowa Paplińskiego mogłem brać za słowa Woyzbuna i na odwrót. Nastąpiło idealne zespolenie, zadziwiająca identyfikacja: Ty jesteś ja, a ja jestem ty. Obaj panowie razem tworzyli doskonały, uniwersalny model adwokata. Nie rozróżniał już nawet brzmienia głosów. Co prawda akustyka na tej sali zawsze była zła. Pałac budowano dwieście lat temu, a wtedy nie brano w rachubę takich

SPRAWA PAPLIŃSKIEGO

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Ponad głowami tłoczonych publiczności widziałem na ławie oskarżonych na podwyższeniu po lewej stronie Paplińskiego i nieco niżej, na ławie obrońców — mecenas w todzie z fioletowymi wypustkami przy szerokim kołnierzu, a pośrodku stołu trzy wystające nad płyty jak posągowe biusty, nieruchome ramiona i głowy trzech sędziów w togach, z których przewodniczący miał rozpostarte na ramionach dokoła szyi insyngium w rodzaju kołły z pozłaczonych ogniw łańcucha, zakończonych posrebrzonym godłem państwowym — miniaturowym orlem.

Przewodniczący udzielił głosu oskarżycielowi publicznemu.

Głos prokuratora wydał mi się znajomy. Podszedłem bliżej, żeby przyrzeć się przedstawicielowi Urzędu Prokuratorskiego. Był to prokurator Merliński, świetnie zapowiadający się mówca, znany z przytomności umysłu i szybkości refleksu. Wśród pracowników Urzędu Prokuratorskiego Papliński miał opinię adwokata, który prowokuje scysły ze sędziami i prokuratorami. Główny był jego zatarg z prokuratorem Wasserbergerem w procesie o podpalenie fabryki w celu uzyskania premii ubezpieczeniowej. Rozdrażniony nieodpartymi argumentami rzeczniczą oskarżenia Papliński pozwalał sobie na wyleczki osobiste przekraczając zjadliwie nazwisko prokuratora na Feiberger; na ile procesu o podpalenie była to ordynarna złośliwość. Uszło mu to za piazem, gdyż przewodniczący w tym procesie był człowiekiem łagodnym i skłonny do tuszowania kontrowersji i polemik, zakłócających rozprawę sądową. W prokuraturze nie zapomniano jednak i nie darowano Paplińskiemu wybrzyku z przekreśleniem nazwiska Wasserbergera i rzecznicy oskarżenia publicznego, związani solidarnością koleżeńską, nie ukrywali swojej wrogiej postawy w stosunku do aroganckiego obrońcy.

Zasiadający w fotelu oskarżyciela publicznego Merliński, wschodząca gwiazda prokuratury warszawskiej, wydawał się bezpartońowy i wyjątkowo groźnym antagonistą Paplińskiego, który miał nieszczęście znaleźć się na ławie oskarżonych.

Przemawiając mocnym i opanowanym głosem, beznamiętnie i rzeczowo, prokurator scharakteryzował osobowość podsądnego, powołując na jego broszurę „Etyka przed sądem” i dowodząc, że zawarte w niej ekstrawaganckie poglądy na rolę adwokata w procesie zaowocowały i znajdują odbicie w agresywnym sposobie, z jakim podsądy wprowadza sprawę, gdy występuje w roli obrońcy.

Protestuję! zawałał Papliński patetycznie i wstał. Protestuję z całą stanowczością i odrucam zarzut oskarżyciela publicznego.

Przewodniczący gestem dłoni nakazał mu, żeby usiadł, lecz Papliński stał gestykulując i mówiąc, coś, czego nie mogłem dosłyszeć.

Do ławy oskarżonych podszedł woźny sądowy z wokandą w ręce usiłując prawdopodobnie wytłumaczyć podsądnemu, że powinien zająć miejsce na ławie.

Papliński wyniosłym machnięciem ręką odrzucił pogardliwie woźnego.

Przewodniczący dał znak prokuratorowi, że może mówić dalej.

Zachowanie się adwokata Paplińskiego, który sam wreszcie znalazł się w roli oskarżonego, co musiało nieuchronnie nastąpić z powodu niegodnych adwokata manier i stylu występowania przed sądem, przemawiał dalej prokurator, wzbudzało od dawna zaprzeczania i protesty sędziów i doprowadzało do niepotrzebnych scysji i zatargów.

nić, żeby usiadł z powrotem na ławce i nie odzywał się, póki mu nie udzieli głosu.

Załowalem, że nie przypomniałem mecenasowi, na co się naraża podejmując się obrony Paplińskiego. Oidium sędziów, skierowane przeciwko oskarżonemu, spadnie również na jego obrońcę.

Rozwijając dalej oskarżenie prokurator dowodził, że strzały oddane w sądzie przez podsądnego były konsekwencją jego nihilistycznych teorii, metod obrończych i niewłaściwego zachowania się przed sądem, zachowania, którego próbkę zademonstrował oskarżony przed chwilą.

Temperatura procesu podnosiła się. Nieraz, gdy przysłuchiwałem się słownym pojedynkom pomiędzy oskarżycielem publicznym a obrońcą podsądnego, przychodziło mi na myśl, że rozprawa sądowa jest czyszczeniem, skondensowaną drugą rzeczywistością, która rozgrywa się w innym wymiarze. Często w ciągu paru godzin powtarzała się na tej sali historia całego życia człowieka, który został pociągnięty do odpowiedzialności i przeżywał na nowo swoje czyny starając się z nich oczyścić albo usprawiedliwić, wyzając na swoją obronę wszystkie dobre i złe moce nieba i piekła.

Pod koniec przemówienia oskarżyciel publiczny stwierdził, że nie interesuje go ekspertyza balistyczna i wylizania o przeciętnej donosności oddanych strzałów, natomiast interesuje go ich kierunek, wskazujący, że oskarżony działał z zamiarem zabójstwa świadka. W konkluzji prokurator wnosił o uznanie winy za udowodnioną i surowe ukaranie podsądnego.

Przewodniczący udzielił głosu obrońcy.

Mecenas rozpoczął przemówienie od spreycowania stanu faktycznego, którego dokładne ustalenie miało w toczącym się procesie ważne znaczenie i który przedstawiał się według ujęcia obrońcy, jak następuje:

W sprawie, która przed paroma miesiącami była rozpatrywana na tej sali, adwokat Papliński broniąc swojego klienta zarzucił świadkowi, porucznikowi piechoty nieścisłość w zeznaniach twierdząc, że jego klient, podsądy, padł ofiarą prowokacji.

Po zarządzonej przez sąd jednogodzinnej przerwie Papliński udał się do domu na obiad i na dziedzińcu sądowym wymijał grupę idących w kierunku wyjścia oficerów. Jeden z wojskowych odezwał się głośno: „Ten pan nazwał mnie prowokatorem”, podszedł do Paplińskiego i zadał mu solidny cios pięścią w głowę. Oficerowie zaczęli się śmiać. Taki był stan faktyczny.

Znieważony Papliński przyszedł do domu, wyjął z biurka rewolwer i nie zasiadłszy do obiadu wrócił do sądu, przemawiał Woyzbun.

Przede było we mnie zaskoczenie niż świadomość, że mecenas miał się z prawdą, gdyż zamysliłem sobie, że przesłuchiwana w trybie dochodzenia prokuratorskiego służąca zeznała inaczej. Przepisywałem własnoręcznie protokoły z akt sądowych robiąc notatki dla mecenasa i pamiętałem, że gosposia zeznała: „Pan mecenas zjadł obiad, przeczytał gazetę i poszedł do sądu”.

Pamięciowe wrażenia obrazowe lub słuchowe bywają pełne luk, natomiast pamięciowe ślady znaczeniowe z lektury, zwłaszcza gdy wraziły się w pamięć z powodu jakiegoś ważnego lub fascynującego szczegółu (i w momencie emocji, jakich doznawałem), utrwalają się w umyśle na długo. A takim właśnie istotnym, kluczowym powiedziałbym i przesadz-

Równoległe z tokiem moich wspomnień i mojego zdumienia mecenas kontynuował przemówienie: Wprawdzie służąca na dochodzeniu prokuratorskim zeznała, że oskarżony czytał po obiedzie gazetę, ale tej prostej kobiecie wszystko się poplątało i nie mogła ona ustalić, czy również w dniu, w którym oskarżony po powrocie z sądu, gdzie oddał serię strzałów w „podłogę, czy więc również w tym dniu oskarżony zasiadł do stołu i po obiedzie czytał gazetę. Natomiast służąca zeznała, że jej pan zawsze po obiedzie miał zwyczaj czytać gazetę. A to już kolosalna różnica. Szkoda, że nie mamy możliwości przesłuchać tutaj w charakterze świadka gosposi, która wyjechała na wieś nie zostawiając adresu ubolewał nieszczęrze mecenas.

Tu, niestety, go miałem, Woyzbuna! Byłem głęboko przeświadczony, że gdyby obrońca i jego klient nie chcieli ukryć adresu długolejnej pracownicy domowej Paplińskiego, to zobaczylibyśmy ją tutaj wśród świadków w sądzie.

Uśmiechałem się zakłopotany. Brał mnie wstyd za mecenas. Już teraz nie przeżywałem dramatycznie, z uczuciowością nie wtajemniczonego adepta palestranckiego moich rozważań. Wiedziałem, jakie szczerane lisy są w tym zawodzie, i tylko uśmiechałem się melancholijnie. Bo też co za dziwny zbieg okoliczności, ironizowałem w duchu. Tym dziwniejszy, że gosposia zniknęła bez śladu, a panna Paplińska skorzystała z przysługującego jej, jako córce oskarżonego, przywileju i odmówiła złożenia zeznań.

Zrozumiałem manewr z gosposią jasno, gdy Woyzbun w dalszym ciągu przemówienia zaczął budować mit, że jego klient od chwili uderzenia pięścią w głowę przez świadka działał w stanie afektu patologicznego. Gdziekolwiek więc, dodawałem mój ironiczny komentarz, Papliński w stanie afektu patologicznego mógł myśleć o czymś tak prozaicznym, jak potrzeba zaspokojenia głodu i lektury gazety, i słuchałem dalej, jak Papliński po zapotrzeniu się w broń wrócił do sądu i zasiadł na ławie obrońców.

A ponieważ nieszczęśliwy jest ten, kto się poczuwa do winy, więc powinienem życzyć Woyzbunowi, żeby mu nie nie maciło spokoju sumienia.

Pytałem siebie ze spokojnym (a raczej przytępiłym) doświadczeniami w sprawie Karakulskiego) zdziwieniem, jak gdyby po tamtych procesie nie już był zburzył ani zdumiewałem mnie nie mogło, jak gdyby to, na co patrzył, wydało mi się naturalne i zgodne z istniejącym powszechnie stanem rzeczy, a więc jak gdybyśmy godził się z tym, co przed miesiącem, a raczej paroma miesiącami, potępiłem i przeciwko czemu buntowałem się z całej siły, jak gdybyśmy więc już był zarażony i obezwładniony panującą na tej sali atmosferą i rezygnował z krytycznego wysiłku poszukiwania sposobów naprawy i logicznej analizy przyczyn oraz wyciągnięcia konsekwencji z tego wszystkiego na co patrzyłem i co słyszałem, jak gdybyśmy zrozumieli, że inaczej nie było, nie będzie i być nie może, i ubolewając nad moim odstępstwem, moją zgodą, moją słabością, moim oportunistycznym, moją winą, zapytywałem samego siebie: Dlaczego tak łatwo zrezygnowałem, uległem i ustępuję z pola walki?

Kto teraz przemawiał? Woyzbun? Zgubiłem się myśląc o czymś innym. Ale — nie. To mówił Papliński, który wstał i przemawiał z ławy oskarżonych stojąc. Przewodniczący zwrócił mu uwagę, lecz on nie słuchał i mówił dalej.

subtelności akustycznych w architekturze jak dzisiaj.

Mecenas położył rękę na ramieniu Paplińskiego i naklonił go, żeby usiadł.

Teraz przemawiał Woyzbun mówiąc niemal słowo w słowo, co mógłby powiedzieć jego duchowy sobowtór, Papliński: Wysoki sąd raczej wyobrazi sobie, co przeżywał oskarżony, gdy świadek, który go znieważał, został wywołany przez woźnego z pokoju dla świadków i szedł na miejsce, z którego miał zeznawać! Mówca uderzył w patetyczny ton, który tak dobrze odpowiadał jego aksamitnemu głosowi, że koleży (zapewne przez zawiść) nazywali go pierwszym tenorem sądu: Postaramy się zrekonstruować ten psychologiczny proces, który się rozgrywał błyskawicznie w psychice podsądnego. Nastąpiła kulminacja sprzecznych emocji. Wysoki sąd raczej wniknął i wyobraził sobie przeżycia, jakich doznawał oskarżony i jakie rozdzierały jego duszę. A oto w przybliżeniu obraz gehenny, usłyszałem podniesiony głos Woyzbuna, jaka się rozegrała w sercu podsądnego: Uczucie nienawiści do świadka, który zbliża się powoli do stołu sędziowskiego: lek przed dopełnieniem zbrodni; rozstrojone nerwy; świadomość, że jeśli świadek dojdzie do krzeseł, zostanie położony trupem; rosnący panicznie strach przed mordercą i bunt przeciwko dokonaniu zabójstwa świadka. „Nie chcę tego”, mówi sumienie. „Ratuj honor”, podżega nienawiść. Wysoki sąd, przemawiał Woyzbun, poeta francuski Nicolas Boileau porównał honora do niedostępnej, stromej wyspy; można z niej zejść, ale nie można już z powrotem na niej wyładować z powodu urwistych brzoźców. Po tym porównaniu honora ze skalistą wyspą upewniłem się, że to mówił mecenas, który miał w swojej bibliotece „Dictionnaire des pensees et maximes”. Zaglądałem do tego słownika często, żeby nie wyjść z wprawy we francuskim i zapamiętałem maksymę Boileau.

W duszy podsądnego, przemawiał obrońca, toczyła się walka z inercją, która w prostej linii prowadziła do zbrodni i której trzeba było przeciwstawić wolę oporu i wyrzeczenia się morderstwa. Świadomość ostrzegała go, że póki chociaż jeden nabój tkwi w magazynku browninga, świadek zbliżający się do stołu sędziowskiego zginie od kuli.

Pochyliłem się, opuściłem ręce między kolana, splótłem palce silnie aż do bólu i zwiesiłem głowę.

Co panu jest? zapytał Lawiński.

Nic, nic, odparłem i rozprostowałem się. W istocie nic mi nie było, a doświadczałem tylko czegoś w rodzaju dysocjacji jaźni, co przytrafiło mi się niekiedy, lecz na ogół nieczęsto. Zdawało mi się wtedy, że jest we mnie jeszcze ktoś drugi, kto mnie podburza do jakiegoś niewczesnego wystąpienia, protestu lub manifestacji mojego niezadowolnienia i odcienienia się od mecenasa, co mogłoby wywołać skandal, zgorszenie, awanturę. Ten ktoś drugi we mnie podzegał, żeby wstać i oświadczyć głośno: „Nie wierzę, mu, panowie sędziowie! Wszystko, co mówi mecenas Woyzbun, to zwycajne zmyślenie, które nie odpowiada prawdzie”. Wiedziałem w tej chwili protestu coś nie normalnego i chociaż bałem się, żeby nie ulec niezdrawemu odruchowi, wiedziałem z doświadczenia, że nie ulegnę mu i że potrafię ukroczyć moje anarchiczne drugie ja. Tak się też stało.

(cdn.)

NAUCZYCIELE I FILM

W poprzednim tygodniu, w relacji poświęconej przebiegowi IV Festiwalu Filmów Dydaktycznych i towarzyszącemu mu Sympozjum miałam okazję podkreślić wkład łódzkiego środowiska pedagogicznego w działania na rzecz sprawy, której hasłem wywoławczym jest „Film w szkole”. Hasło to, jak wiele innych, jest bardzo pojemne.

W trakcie IV FFD uwaga nasza skupiona była na zagadnieniach filmu dydaktycznego. Wspomnianą relację pragnę dziś uzupełnić pewnymi dodatkowymi informacjami. To, że można było uczestnikom festiwalu, którzy przybyli z całej Polski pokazać w dwudziestu kilku łódzkich szkołach ciekawe lekcje z wykorzystaniem filmu dydaktycznego, wynika z jednego faktu. Mimo wielu trudności, z którymi nauczyciele stosujący film w dydaktyce spotykają się muszą, Łódź należy do tych ośrodków, w których praca z filmem odbywa się naprawdę. Te grupy dwudziestu kilku dydaktyków poszerzyć można by o liczbę znacznie większą lecz nie na praktycznym stosowaniu filmu sprawa się kończy.

Od dłuższego już czasu Wytwórnia Filmów Oświatowych, realizując filmy dydaktyczne, korzysta z pomocy konsultantów — właśnie nauczycieli — których proponuje łódzkie Kuratorium Oświaty i Wychowania. Dla łódzkich nauczycieli organizowane są również przez WFO pokazy nowych filmów przeznaczonych dla poszczególnych przedmiotów. Ich opinie są dla kierownictwa i realizatorów tej Wytwórni bardzo ważnym materiałem, służącym poszukiwaniom najwłaściwszego kształtu filmu dydaktycznego. Temu samemu celowi służą też okolicznościowe badania sondażowe, prowadzone przez WFO, nie tylko w grupach nauczycieli poszczególnych przedmiotów, ale także wśród uczniów. Te formy zbierania opinii i wniosków należą chyba nadal kontynuować i rozwijać. Pamiętając, że WFO jest w naszym kraju głównym producentem filmów dydaktycznych, uważałem, że od współczesności łódzkiego środowiska nauczycieli w procesie ich powstawania w dużym stopniu zależy poziom tej kategorii polskich filmów.

Na tym nie kończy się jednakże udział nauczycieli w realizacji hasła: Film w szkole. Poloniści, którzy w ostatnich kilkunastu latach opuścili mur Uniwersytetu Łódzkiego, w zależności od specjalizacji w mniejszym bądź większym stopniu byli przygotowani do realizacji nowych zadań, jakie stawia przed nimi program języka polskiego. W aktualnych programach istnieją jeszcze skromne hasła dotyczące wiedzy o teatrze, filmie, telewizji i radu, przygotowawany program szkoły dziesięcioletniej przewiduje tych hasła znacznie więcej i to nadal w ramach przedmiotu: język polski. Tym bardziej palącą sprawą, oczywiście w skali całego kraju, staje się problem korelacji programów studiów polonistycznych z wymogami, jakie stawiać będzie przed nauczycielami szkoła dziesięcioletnia.

Nie to zagadnienie jest wszakże głównym przedmiotem niniejszych uwag. Sprawa, która dziś pragnę podkreślić, jest fakt, że właśnie w łódzkich szkołach, w których pracują absolwenci łódzkiego uniwersytetu, mamy najwięcej nauczycieli przygotowanych do realizacji owego hasła: Film w szkole. Oni to także, zwłaszcza ci z nieco wcześniejszych roczników, są uczestnikami studiów poddyplomowych z zakresu wiedzy o teatrze, filmie i telewizji, prowadzonych przez Instytut Teorii Literatry, Teatru i Filmu UL.

Wspomniały tu Instytut od wielu lat, pozauniwersytecka działalnością badawczą i dydaktyczną, patronuje większości akcji podejmowanych w kraju na rzecz filmu w szkole. Z jego prac ostatnich wylizyć należy podjęcie badań w ramach problemu wezwanego „Modernizacja systemu oświaty”. Są one prowadzone na zlecenie Ministerstwa Oświaty i Wychowania i dotyczą opracowania tematu „Metodyka stosowania filmu fabularnego w pracy szkoły”. Jak bardzo tego typu opracowanie jest dziś nauczycielom potrzebne, wiedza ci, którzy choć trochę problematyka ta interesują się. I znów sprawa oczywista jest to, że podjęcie tej pracy byłoby niemożliwe, gdyby nie fakt, że można było w Łodzi odnaleźć nauczycieli, którzy łącząc swe doświadczenia metodyczne i swą wiedzę stricte polonistyczną z wiedzą o sztuce filmowej, mogą czynnie w badaniach tych uczestniczyć.

Sądząc, że wspomniane tu przykłady, do których dołączyć można by wiele innych, świadczą dobrze zarówno o współpracy wyższej uczelni ze szkolnictwem, jak i o współpracy ze szkołami instytucji spod znaku — kultura. Świadczą też o aktywności łódzkiego środowiska nauczycielskiego.

EWA NURCZYŃSKA

KONRAD FREJDLIH

ENKYLIOS PAIDEIA

Kiedy starożytni Grecy wprowadzili do swego języka termin „enkylios paideia” na oznaczenie całości wiedzy, jaką powinien posiadać naprawdę światły człowiek tamtych czasów, nawet najwięksi mędrcy nie przypuszczali, że ich idea zaowocuje po tysiącach dziełami znanymi dziś powszechnie jako encyklopedie. W sukurs przyszedł przecież wynalazek druku, który uczynił je dostępnymi dla milionów ludzi, chociaż pierwsze próby stworzenia kompendium najpotrzebniejszych wiadomości nie wskazywały bynajmniej, że pomyśl ten upowszechni się i przyjmie.

Za przełomową datę uważa się rok 1751: we Francji zaczyna ukazywać się zaprojektowane na 38 tomów dzieło pn. „Encyklopedia albo słownik rozumowy nauk, sztuk i rzemiosł”. W jego tytule pobrzmiewa tamto greckie „enkylios paideia” wskazując niedwuznacznie na rodzaj idei. Nikt, łącznie z autorami, nie podejrzewał chyba, że książka, która zdobyła sobie 5 tys. subskrybentów, stanie się dźwignią zdolną ruszyć z posad wszechwładny ustrój feudalny i utworzyć drogę nowym czasom. Ale od tamtej pory encyklopedie, wydawane niemal we wszystkich krajach, zyskują nie tylko na znaczeniu. Stają się powszechne i to w podwójnym znaczeniu: zakresu wiedzy, jaką niosą ich ułożone w porządku alfabetycznym hasła i kręgu odbiorców, którzy czerpią z nich wiadomości. Obok encyklopedii powszechnych, tzn. uniwersalnych pojawiają się też wydawnictwa specjalistyczne, operujące wąskim zakresem hasel, ale za to wypełniające dokładnie dziedzinę, o której chcą informować.

Nie tak dawno na półkach księgarskich ukazała się i niemal natychmiast zniknęła publikacja, której jako łodzianin, serdecznie poznałem w Warszawie: encyklopedia w całości poświęcona stolicy. Można w niej znaleźć wiadomości o starych rodach patrycjuszowskich, dzieje sławnych budowli biogromy działaczy ruchu robotniczego, artystów, ludzi przemysłu, nauki, kultury, oświaty. W zwyciężonych hasłach ukazano rozwój instytucji artystycznych, zakładów produkcyjnych, ważne wydarzenia historyczne, które rzutowały na życie stolicy.

Jako publicyście a nawet człowiekowi rozkochanemu w swym mieście od dawna brak mi takiego, choćby nawet najskromniejszego kompendium wiedzy o Łodzi. Sytuacja jest wielce paradoksalna. Jeśli chcę sprawdzić, kim był Ludwik Geyer, który na początku wieku XIX zasłynął jako pierwszy, w znaczeniu: najwybitniejszy przemysłowiec Królestwa Polskiego, to oczywiście pół biedy. Czytelnik jako tako orientujący się w temacie ma tutaj sporo możliwości. Można przecież sięgnąć do interesującego studium M. Komara pt. „Powstanie i rozwój zakładów przemysłowych Ludwika Gejera 1828—1847”. Szkopuł tylko w tym, że ten szkic ukazał się w trudno dziś dostępnym III tomie „Rocznika Łódzkiego” opublikowanego w 1933 roku. Przy dobrych chęciach przeszłość tę można oczywiście pokonać. Stosunkowo niedawno ukazała się przecież popularna, zbeletryzowana monografia Andrzeja Berkowicza „Geyerowska legenda”, którą dysponują nawet rejonowe wypożyczalnie książki. Można także sięgnąć do pracy Anny Rynkowskiej „Ulica Piotrkowska” oraz „Przedsiębiorstwo Ludwika Gejera w latach 1828—1870”, chociaż ta ostatnia pozycja pomieszczona została w niskonakładowej i mało znanej publikacji Centralnego Muzeum Włókiennictwa. Ale ostatecznie istnieje też książka Henryka Dintera „Dzieje wielkiej kariery”, gdzie żądny wiedzy czytelnik znajdzie także sporo wiadomości o człowieku, który jako pierwszy uruchomił w Łodzi maszynę parową.

Znacznie trudniej dowiedzieć się o działalności w Łodzi takich wybitnych działaczy międzynarodowego ruchu robotniczego jak Feliks Dzierżyński czy Julian Marchlewski. A rzecz się komplikuje całkowicie, gdy sięgniemy do nazwisk mniej popularnych, które wszakże odegrały niepoślednią rolę w dziejach naszego miasta.

Znowu posłużę się przykładem, tym razem z dziedziny kultury. Dzięki popularnym artykułom drukowanym w prasie przečetny łodzianin wie na ogół kim był Francisek Sellin, jeden z pierwszych animatorów życia teatralnego w naszym mieście. Jakże jednak niewiele wiemy o aktorach stworzonego przez niego, stosunkowo przecież niedawno, bo w roku 1901, Teatru Wielkiego. Kim była, grywająca rolę salonowych dam Maria Bissen-Janowska? Albo, według ówczesnej nomenklatury „lekkim amantem” Czesław Janowski? Meżem swojej żony, czy też kimś więcej, kto zapisał się w dziejach kultury? Kto wie jak miała na imię — grywająca także salonowe role, aktorka Słubicka?

Kiedy przed paru laty zdecydowałem się na zgrupowanie materiałów do antologii reportażu łódzkiego „Uśmiech Ariadny”, która ukazała się w roku 1973, natrafiliem na kłopoty podwójnego rodzaju. Z jednej strony, operując ponad stuletnią skalą, trudno było przebrnąć przez to morze rozproszonych publikacji prasowych a nawet druków zwartych, co niemal przerastało siły jednego człowieka. Nie dziwnego, że studiowanie materiałów zabrało mi ponad dwa lata. Z drugiej strony, decydując się na w miarę reprezentatywną próbkę publikacji reportażowych o Łodzi, chciałem coś wiedzieć o ich autorach i podzielić się swą wiedzą z czytelnikami. I w pewnych wypadkach okazało się to niemożliwe. Pół biedy, gdy chodzi o tak glośno nazwisko jak Oskar Flatt: z pomocą przyszła mi wydana w połowie XIX wieku Encyklopedia Orgelbranda. W jednym przypadku pomógł mi znany bibliograf Michał Kuna, dzięki któremu mogłem ułożyć biogram Aleksandra Bolesława Cypsa, wydawcy czasopisma „Świat Literacki i Teatralny”. Ileż jednak kłopotów sprawił mi Petersburski dziennikarz Mikołaj Tomkowski-Kostin, który jako autor książki „Miasto proletariuszów”, opowiadającej o wypadkach 1907 roku trwale zapisał się przecież w historii Łodzi.

Przykłady takie można mnożyć w nieskończoność.

Sądzę, że pora, aby nasze miasto otrzymało poświęconą sobie encyklopedię. Przemawia za tym wiele względów, nie jest to tylko kaprys publicysty czy też chęć naśladowania Warszawy, która w tym wypadku wyprzedziła nas o ładnych pare lat.

Po pierwsze — większość łodzian stanowi ludność napływowa, której wiedza o mieście jest bardzo fragmentaryczna i niedoskonała. Trzeba im Łódź pokazać w pełnym kształcie wraz z jej dramatyką, ale i wielką przeszłością. I jest to obowiązek, od którego nikt nas nie zwolni, jeśli w oczach przyszłych pokoleń nie chcemy uchodzić za nieuków.

Po wtóre — liczba rozproszonych monografi i o różnych fragmentach rzeczywistości łódzkiej jest tak wielka, że stanowić już może dostateczną bazę, punkt wyjścia, do tak wielkiego przedsięwzięcia wydawniczego jak „Encyklopedia miasta Łodzi”. Opublikowana ostatnio nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego bibliografia pn. „Książki o Łodzi dla wszystkich” liczy 489 pozycji, a jest to raczej wybór niż próba ukazania wszystkiego, co napisano o naszym mieście. Świadczy to zarazem o tym, że nie startujemy od zera i posiadamy gotowy kapitał wiedzy, który trzeba przetworzyć na hasła encyklopedyczne.

Mamy sporo placówek, które statutowo zajmują się problematyką Łodzi. Należy do nich i Państwowe Archiwum i Centralne Muzeum Włókiennictwa i, beniaminek Muzeum Historii Miasta Łodzi. W oparciu o ich wyspecjalizowany aparat należałoby rozpocząć już dzisiaj gromadzenie materiałów. Nie ulega przecież wątpliwości, że prace nad encyklopedią staną się impulsem do kompleksowych badań nad Łodzią i pozwolą nam odkryć nowe jej strony. A jako autor „Uśmiechu Ariadny”, który trochę liźnął takiej przygody, twierdząc, że sporo jest tu jeszcze do odkrycia.

Trwają właśnie Dni Oświaty, Książki i Prasy, na specjalnych kiermaszach będzie można nabyć rarytasy sprzedawane zazwyczaj spod lady. Ale książki, którą chciałbym nabyć, będę poszukiwał na próżno. Nikt o niej dotąd nie pomyślał bo tym dziełem jest właśnie nie istniejąca „Encyklopedia miasta Łodzi”. Będzie dla mnie zaszczytem uważać się za pierwszego subskrybenta przedsięwzięcia wydawniczego, które zlikwiduje wreszcie tę krzyczącą białą plamę.

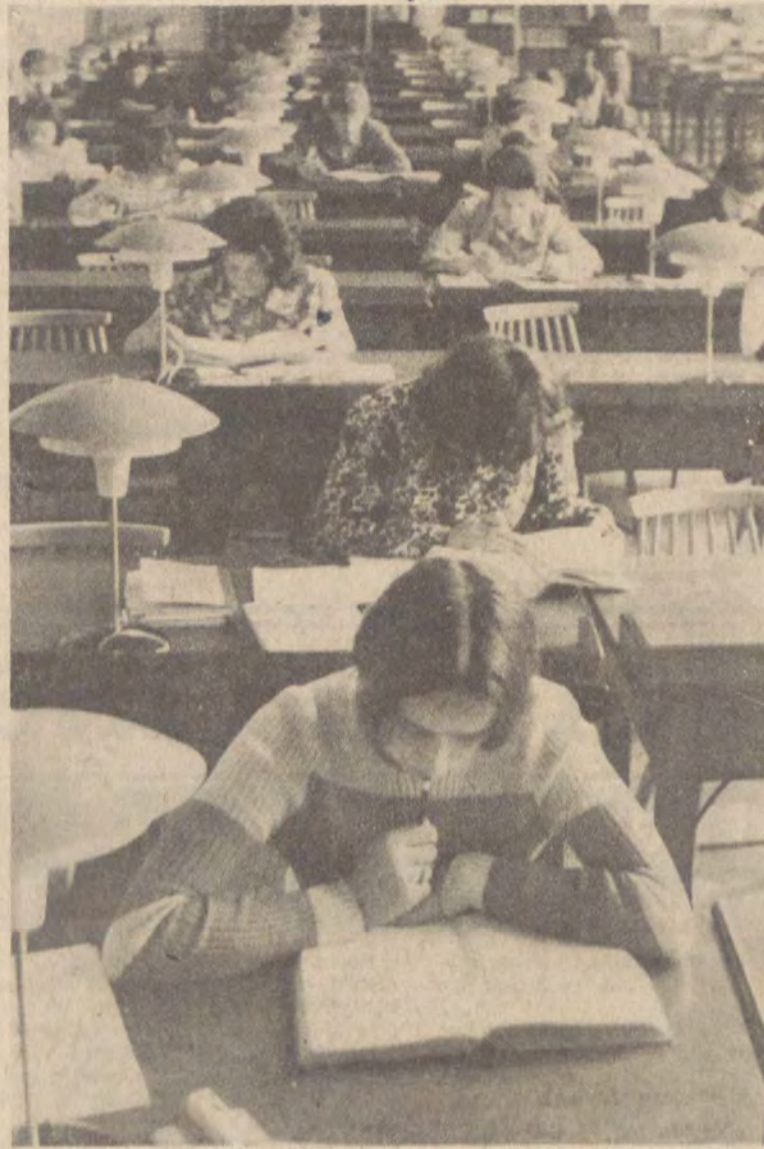


Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

Książki podrożały. Różne na to złożyły się przyczyny. Najważniejszą z nich jest wzrost cen na papier. Za importowaną celulozę płać się dziś bez porównania więcej niż przed dwoma jeszcze laty. W stosunku do roku ubiegłego wskaźnik cen na surowce wynosi 206 procent. Tak podaje „Financial Times”. A tam umieją na ogół dobrze liczyć. Ostatecznie te największe „Aukcje surowców” nie gdzie indziej mają miejsce tylko jak przed wiekiem wciąż w tym samym Londynie.

Wielki Johann W. Goethe wróżył, że „książkę zabije dziennikarstwo”, potem przepowiednia, że „film zabije książkę”. W kohebu dowodzone, że „telewizja rozprawi się zarówno z książką jak z filmem, radiem i dziennikarstwem”. Akurat prawda. Nigdy jeszcze nakłady łódzkich gazet nie sięgały takich astronomicznych wyżyn. Sobotni „Głos Robotniczy” rochodzi się w setkach tysięcy egzemplarzy. Co do książek, to co trzecia łódzka rodzina ma w domu własną biblioteczkę. Szafa biblioteczna stała się czymś równie niezbędnym co stół i krzesła.

...łatwiej jednym książkę napisać niż drugim ją przeczytać.

Może i łatwiej. Fakt jednak faktem, książki z księgarni znikają. Wprawdzie Łódź to jeszcze nie Warszawa i Kraków, to nawet nie Poznań i Wrocław, zawsze jednak wśród wielkich miast zajmuje piątą, więc całkiem niezłe miejsce na czytelniczej drabinie. Średnio łodzianin wydał w zeszłym roku 260 złotych na zakup książek. Dwa razy mniej niż warszawianin. Ale dwa razy więcej niż wydawał 3 lata temu.

Największy ruch panuje w księgarniach przy Piotrkowskiej.

I nie się na to nie poradzi. To już łódzka tradycja. Łódzka też specyfika. Może na Stokach być wspaniała księgarnia. Może przy Głównej być otwarty prawdziwy salon księgarski. Łodzianie i tak wiedzą lepiej. Książkę to już nabywa się przy Piotrkowskiej. Tak wypadła. Tak to się przyjęło. Zresztą Piotrkowska to ulubiony deptak tej nadobniejszej plci. A kobiety dwa razy więcej zaglądają do księgarni niż mężczyźni. Trzy razy częściej zaglądają do czytelnii.

Czym to wytłumaczyć?

Wyszkoleniem. To jasne.

Kobiety są bardziej odcytane, bo są lepiej wykształcone. Dziewczęta już dawno zmajorzowały uniwersytety, akademie, uczelnie pedagogiczne i ekonomiczne. Odsetek niewiast na wyższych uczelniach waha się od 62—72 procent. W liceach ogólnokształcących na czterech uczniowie trzy to dziewczęta. To już nie tyle łódzka co polska specyfika. Nie jestem zresztą zbyt pewny czy to powod do dumy czy może raczej do zadumy. W tych najbardziej cywilizacyjnie rozwiniętych krajach świata odsetek niewiast na wyższych uczelniach nigdy nie przekracza 35 procent. I uważa się tam, że mimo

wszystko jest zbyt wysoki. Bo kobiety mimo dyplomów są zwykle mniej zawodowo aktywne, mniej twórcze; mniej ambitne od mężczyzn.

Kobiety więcej czytają

Kobiety przepadają za romansami a jeszcze bardziej przepadają za kryminałami. To one okupują łódzkie księgarnie w środy i w czwartki. W te właśnie dni nadchodzą nowości. Kryminałno-powieściowe. Mężczyźni szukają raczej reportaży, książek podręcznych, encyklopedii, słowników, wydawnictw specjalistycznych i albumowych. Cena w takim wypadku większej roli nie odgrywa. Czy jednak rozmiary domowej biblioteczki zależą od rozmiarów miesięcznego zarobku jej właściciela?

Skądże. Te dwie linie nigdy obok siebie nie biegają równolegle. I nie tylko u nas. Gdyby tak było — to na przykład — jedną z najbardziej obszernej bibliotek w Republice Federalnej Niemiec powinien się sztytować Franz Beckenbauer. Ten od kopania futbolowej piłki, Beckenbauer inkasuje po 20.000 dolarów miesięcznie. Dla porównania kanclerz RFN Helmut Schmidt pobiera 15.000 marek miesięcznie, więc jakieś 6.000 dolarów. Co to jednak znaczny mieć główkę... do kopania. Na Zachodzie najokazalsze biblioteki pełne grubych tomów w złożonych oprawach mają doktorzy i adwokaci. To rozumiale. Posiadacz wielkiej biblioteki wzbudza zaufanie. Doktor bez zaufania jest jak futbolista bez nogi.

W ogóle z książkami dzieje się czasem rzeczy dziwne. To towar pod każdym względem szczególny. To nie posiadacz warsztatów w mieście Łódź, wytwórcy pedali do golenia i paszków do noszenia, nie podmieścicy szklarniowcy i dolarowcy z własnym kontem, w ogóle nie można tego miasta kupują więcej książek. Nie podobnego. Najwięcej książek kupują humaniści z wykształcenia, o kusznych zdecydowanie dochodach, lecz o wielkiej potrzebie na duchową strawę. Książka to przecież „nutrimentum spiritus”, jak gdzieś tam kiedyś mawiano, to pokarm właśnie dla duszy.

Kto lubi książki?

Więc czyta jedynie tak zwana inteligencja?

O nie, to by już było zbyt daleko idące uogólnienie. Tym samym byłoby to fałsz i krzywe zwierciadło. Przyglądałem się pracy fabrycznych kolporterów. Interesowało mnie, co zamawiają. I oto zaskoczenie. W fabrykach rozprowadza się powieści, ale też słowniki, klasyków i przewodniki. Słowem kolporterzy sprzedają w fabrycznych kioskach to wszystko, co nabywa przeciętny łodzianin w księgarniach przy Piotrkowskiej. Te różnice powoli się zaciera. W Łodzi czytają dziś prawie wszyscy. Prawdą jest chyba bezsporna, że istotnie spośród wszystkich rewolucji, jakie zaszyły w Polsce po wojnie, ta naj-

wieksza rewolucja to rewolucja czytelnicza.

Mądrość ludowa przestrzega „Dawniej książek nie czytano, zbroża więcej sprzedawano”. Ale przecząc sobie dodaje „Książka w izbie, świat na przyzbie”. Rzecz to w istocie zastanawiająca. Bo sporo złośliwości o książkach napisali wielcy tego świata. Marcin Luter grzmiał z ambony „Wiele książek to wielkie zło”. Rochefoucauld dodawał „Lepiej studiować ludzi niż książki”. Benjamin Disraeli to już dał upust nienawiści, „dziewięć dziesiątych spośród wszystkich książek to bzdura i nonsens. Książki są przekleństwem rodzaju ludzkiego. Największym nieszczęściem, „the greatest misfortune”, jakie spadło na ludzkość „was the invention of printing”, było wynalezienie druku”.

Wszystkie te myśli czyta się dziś z niemalym zdumieniem. Wyszył przecież spod pióra ludzi uważanych za największych w swej epoce. Już bardziej byśmy podpisali się pod starożytną maksymą, „cave ab homine unius libri”, wystrzegaj się człowieka, co poprzestał na jednej książce. Myśle, że bliska nam jest też wypowiedź Bergsona o sztuce, „Literatura stawia nas w obliczu samych siebie. Wyrwa nas z myślowego odretwiania i moralnego marzmu, ukazując nam prawdę o nas samych”.

Mało książek

Niestety, książek brakuje. Żadna dobra pozycja długo na księgarskich półkach nie leży. O bestsellery idą zaciekłe boje. Trudna rada, słyszy się, koldra za kółka. A może koldra wcale krótka nie jest, tylko jest źle rozłożona? Może gospodarka papierem wciąż daleka jest od względnej nawet doskonałości? Na druk samych tylko etykiet, formularzy, instrukcji, kart ewidencyjnych i różnych innych idzie rocznie 38.000 ton papieru. Nim jakko trafi od producenta do konsumenta musi być uprzednio zaksięgowane na 17 rozmaitych formularzach.

Gdyby biurokracji ująć tylko 1.000 ton papieru, żeby nieco przychudła, to z tego 1.000 ton papieru Łódzka Drukarnia Dzielowa mogłaby dodatkowo wydrukować 3 miliony książek. Czy nie bywają książki chybione? Bywają — oczywiście że bywają. Są przeceniane. Można je nabywać w antykwariacie przy Wschodniej. Idą też na loterie. Przemiał to już podobno historia. To już ponoć margines niewart nawet wzmianki. Konradowicz kiedyś napisał „Krytyka nie zaskodzi sprzedaży książki. Owszem, im więcej było krytyk na jakowymś dziele, tym się przedziel wydanie z handlu wyczerpało. Już gorzej kiedy milcza”.

Jeszcze Henryk Sienkiewicz, już na sam koniec.

„Książki powinni pisać znający potrzebę tych, dla których piszą, a nie, to lepiej wróble strzelać”.

JAN BABIŃSKI

co kto czyta?

U PRZYJACIOŁ

W dniach 6-14 września bieżącego roku odbędzie się w Moskwie I Międzynarodowa Wystawa i Targi Książki pod hasłem „Książka w służbie pokoju i postępu”.

Dotychczas w ZSRR zorganizowano trzy imprezy tego typu o charakterze międzynarodowym. Pierwszą w 1967 roku z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej; druga w 1970 roku dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina i w 1975 roku.

Zainteresowanie jakie im towarzyszyło skłoniło radzieckich wydawców do zainicjowania stałych tego rodzaju wystaw książek w Moskwie, połączonych z targami. Organizowane one będą co dwa lata.

I Międzynarodowa Wystawa i Targi Książki odbędzie się niemal w przededniu 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Ta szczególna okazja nadała tej imprezie specjalny charakter. Po raz pierwszy wystawa książek połączona będzie z ich sprzedażą, a to oznacza, że przewidziane są zakrojone na szeroką skalę transakcje handlowe również i w zakresie praw autorskich z zagranicą. Organizatorzy chcieliby, aby targi te jeszcze bardziej ożywiły dotychczasowe formy kooperacji wydawniczej. Jak zamówienia na opracowania poszczególnych publikacji, usługi poligraficzne, wreszcie wspólne edycje.

Wydawcy radzieccy posiadają już spore doświadczenie współpracy z zagranicznymi partnerami. Jeśli chodzi o kraje socjalistyczne. Obecnie na przykład kontynuowane są prace nad wydaniem 150 wspólnych publikacji o aktualnych problemach współczesności. Niezależnie od tego przykłada się do współpracy z firmami amerykańskimi prace z dziedziny medycyny i kosmonautyki, a z wydawcami z RFN i Francji publikacje albumowe i inne. O ile w poprzednich 3 wystawach brał udział wydawca głównie z krajów socjalistycznych i pewna liczba postępowych firm wydawniczych z Zachodu, o tyle tym razem zaproszono do udziału w imprezie wszystkich wydawców, księgarzy i tych, którzy mają coś wspólnego z ruchem wydawniczym z całego świata. Nie trzeba chyba dodawać, że zgodnie z hasłem „Książka w służbie pokoju i postępu” nie mają prawa wstępu na stoiska targowe publikacje gloryfikujące wojnę, przemoc, dyskryminację rasową i wszelkie inne przejawy nietrudności. Poza tym jednym warunkiem nasi zagraniczni kontrahenci mogą sami ustalać tematykę i objętość przysyłanych publikacji. Organizatorzy ze swej strony udostępniają im tyle powierzchni wystawowej ile im będzie potrzebna, ponadto oferują wszelkie usługi w dziedzinie technicznej obsługi i organizacji stanowisk.

Przygotowania do Wystawy-Targów są w znacznym stopniu zaawansowane. Organizatorzy gościli już wydawców, księgarzy i artystów, którzy robili przysyłki do swoich stoisk, z Bulgarii, CSRS i Polski. Napłynęły także zgłoszenia wielkich firm wydawniczych z Wielkiej Brytanii i Holandii. Z dnia na dzień przychodzą dalsze zgłoszenia. Ostatnio na przykład udział w targach zgłosiły firmy z Francji, Finlandii, RFN (130 firm), z Hiszpanii, Japonii, Kanady i Portugalii, Indii i Iraku, a także z krajów Ameryki Łacińskiej.

Bardzo bogata ekspozycja zaprezentują gospodarce. Zdemontowanych zostanie 15 tys. tytułów z różnych dziedzin życia od tematyki społeczno-politycznej poprzez naukę i technikę, literaturę piękna, aż do wydawnictw albumowych. Zaprezentują także swój dorobek wszystkie republiki związkowe. Po raz pierwszy pokazane zostaną periodyki literacko-artystyczne.

Osobny rozdział stanowić będą tytuły będące retrospektywnym przeglądem radzieckiego dorobku wydawniczego z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Goście odwiedzający wystawę, będą mieli możliwość obejrzenia różnego rodzaju publikacji książkowych poczynając od pierwszych, wydanych tuż po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji.

Rozwój wydarzeń w Rodezji nie jest na rękę międzynarodowym kołom imperialistycznym, które nie gardzą żadnymi środowiskami, żeby tylko okazać pomoc rządzącej klicce rodezyjskiej, a przede wszystkim pomoc wojskową w ludziach i sprzęcie. Otwarcie prowadzą werbunek i kierują do Rodezji profesjonalnych najemników biorąc w ten sposób udział w przestępstwach rządu Smitha. Krwawe przestępstwa najemników wymownie demaskują hipokryzję burżuazyjnych działaczy Zachodu, którzy, od czasu do czasu, popierają w słowach ruchy narodowo-wyzwoleńcze, a w rzeczywistości dążą do obrony tej twierdzy rasizmu i kolonializmu na południu Afryki.

RODEZJA „PSY WOJNY”

Uzbrojone po zęby rodezyjskie „sily bezpieczeństwa” odczuwają ostry niedostatek składu osobowego. Ratują je zagraniczni ochotnicy, których z miejsca włącza się do wyborowych oddziałów wojsk pacyfikacyjnych. Te „psy wojny” stanowią główną uderzeniową siłę armii rodezyjskiej, są to bowiem oddziały „najlepsze”, najbardziej „wykwalifikowane” i najbardziej efektywne w tej brudnej wojnie. Zmobilizowanych Rodezyjczyków kieruje się z reguły do oddziałów tzw. wojsk terytorialnych, „wyborowe” oddziały kompletuje się przede wszystkim z obokrajowców: Portugalczyków — uciekinierów z Mozambiku i Angoli, byłych żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej — uczestników wojny wietnamskiej, Anglików, którzy pacyfikowali Północną Irlandię, a poza tym — Australijczyków, południowoafrykańskich rasistów, obywateli RFN, Francuzów.

Skąd przybywają najemnicy? Werbują się ich w Zachodniej Europie i w USA. W Mediolanie, w Paryżu, w Düsseldorfie, Rzymie i Brukseli, a także w niektórych amerykańskich miastach, z rąk do rąk przechodzą paczki dolarów i fałszywe paszporty. W ostatnich miesiącach machery od werbunku rozwinęli szczególnie gorączkową działalność, żeby móc zapewnić nieprzerwany dopływ „uzupełnień” do punktów zbiorczych w Rodezji. Major Lamprecht, wódz białych najemników w armii rodezyjskiej, zorganizował kilka ośro-

ków werbunkowych. W USA wystarczy, żeby kandydat na ochotnika nawiązał kontakt z niejakim Tedem Lytle, zamieszkałym przy 241 Ulicy, Brooklyn, Nowy Jork, lub napisał kartkę na adres: Carl Frederix, skrytka pocztowa 4021, Cincinnati, Ohio. W Grecji ochotników przyjmuje się uprzejmie pod adresem: skrytka pocztowa 564, Ateny, itp., itd. Południowoafrykański handlarz bronią, Barry Miller, trudni się werbunkiem nie wychodząc nawet z swego luksusowego mieszkania w domu przy ulicy Presse 5, w Brukseli. We Włoszech istnieje cała sieć biur werbunkowych.

W Rzymie, jak informuje rzymski dziennik „Giorni”, werbownicy upodobili sobie bar położony obok poczty w centrum miasta i restaurację przy ulicy Regina Margherita. Kandydaci przechodzą badania lekarskie w klinice, niedaleko dworca kolejowego Termini, po czym jada do Paryża lub Brukseli, a stamtąd — do Rodezji. Akcją werbunkową we Włoszech kieruje były spadochroniarz, znany pod pseudonimem „Kapitan Gaetano”. Po rozpoczęciu kariery w 1961 roku w szeregach neofaszystowskiej „Narodowej awangardy młodzieży” w Genui, aktywnie popierał działalność skrajnie prawicowych

organizacji paramilitarnych i był blisko powiązany z kierowniczymi kołami organizacji chorwackich faszystów — ustaszowców.

W listopadzie — grudnia ub. roku w burżuazyjnych gazetach Zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych pojawiły się drobne ogłoszenia o mającym się odbyć spotkaniu członków „Klubu dziłkich gęsi”. Wiadomo, iż klub jest przykrywką organizacji najemników, kierowanej przez Micky Hore'a, pseudonim „wściekły Micky”. Jądro organizacji stanowią „weterani drużyny nr 5”, która zdobyła najgorszą sławę, jaką tylko można sobie wyobrazić, w Kongo (obecnie Zair) w początkach lat 60. Tym razem „wściekły Micky” zatrudnił na wielką skalę najemników na polecenie superintendenta M. Browna ze sztabu dowództwa Brytyjskiej Policji Południowoafrykańskiej (BSAP). Tę wojskową jednostkę, której nazwy nie zmieniono nawet po zerwaniu stosunków między Rodezją a Wielką Brytanią, stworzono w 1960 roku z myślą o „utrzymaniu porządku” w rejonach miejskich. Wkrótce zasłynęła ona ze skrajnej brutalności wobec ludności autochtonicznej. Micky Hore i jego „Klub dziłkich gęsi” odgrywają główną rolę w werbowaniu najemników. Przy pomocy dwóch adiutantów, w tym jednego specjalisty w prowadzeniu wojny w dżungli, „wściekły Micky” utworzył sieć biur werbunkowych, praktycznie rzecz biorąc,

we wszystkich krajach kapitalistycznych.

W USA pracują dla niego Bart Boner i William Steenman. Otwarto biura werbunkowe w Genewie, Kantonii i Londynie. W stolicy Wielkiej Brytanii złotem „gesi” zajmuje się niejakimi Brant Milton, były lotnik z eskadry śmigłowców w Wietnamie, wielki przyjaciel południowoafrykańskiego handlarza bronią, wspomnianego już wcześniej Barry Millera. Obecnie Brant Milton gorączkowo poszukuje specjalistów do wojny w dżunglach i doświadczonych pilotów śmigłowców. Lotnikom i żołnierzom desantowym gwarantuje się miesięczną pensję w wysokości od 2 tysięcy do 2.800 dolarów. Pieniądze umieszcza się na rachunkach w jednym z banków szwajcarskich. Po podpisaniu kontraktu, otrzymaniu rodezyjskiego paszportu i biletu na samolot, najemnicy udają się do punktów przerzutowych „Klubu dziłkich gęsi”.

Kilkunastu lub kilkunastu werbowników, trudno tu się zorientować w liczbie tych handlarzy żywym towarem, jedzie, z polecenia majora Lamprechta, po całej Zachodniej Europie. Każdego wieczoru, między godziną 21 a 24, Lamprecht siedzi w barze „Saint Severin” w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu. Ten „pies wojny”, były podoficer francuskich wojsk spadochronowych, który zdezerterował z armii po rozgromieniu spisku OAS w Algierze, pozostawił po sobie krwawe ślady, ciągnące się przez Kongo, Katangę, Biafrę, Sudan i Angolę. Filozofia „porucznika O'Neila”, tak brzmi jego nowe „nazwisko i stopień”, nie wyróżnia się oryginalnością i nie wymaga komentarzy. „Porucznik” od razu puszcza w ruch niezbyt argument — pieniądze.

Kiedy w styczniu tego roku, Ian Smith powiedział w telewizji, że nie chce nawet słyszeć o czarnym rządzie w Rodezji, wielu Murzynów wstąpiło do oddziałów ZIPA — Narodowej Armii Zimbabwe. Wielu uciekło do Mozambiku. Uzyskanie niepodległości przez Angolę i Mozambik, gdzie władzę przejął naród, sprzyja zbrojnej aktywizacji rodezyjskich patriotów. Obecnie partyzanci przenikają już na przedmieścia drugiego co do wielkości miasta kraju — Bulawayo. Ian Smith z jednej strony podejmuje środki, żeby powstrzymać potok uchodźców, a z drugiej prowadzi zbrodniczą politykę zastraszania Mozambiku, który z kolei uważa za rezerwuariat zbrojnej Zimbabwe. We wrześniu ub. roku grupa samochodów ciężarowych i transporterów opancerzonych ze znakami rozpoznawczymi FRELIMO, pełnych żołnierzy przebranych w mundury sił zbrojnych Mozambiku, wdarła się na terytorium tego kraju i napadła na obóz uchodźców z Rodezji, znajdujący się w miejscowości Niazoni. W ciągu 2 godzin żołdacy rodezyjscy wymordowali 600 uchodźców. Pozostali przy życiu uciekli do lasów, gdzie zmarli z wycieńczenia i głodu.

Mimo nieopisanych cierpień narody afrykańskie aktywizują walkę zbrojną o uwolnienie Afryki od kolonializmu i rasizmu, niosą pomoc narodowo-wyzwoleńczym ruchom tego kontynentu. Kraje imperialistyczne pod pozorem „prawdziwego obrońcy praw człowieka” eksploatują bogactwa naturalne Afryki i tanią afrykańską siłę roboczą, depczą w najbardziej cyniczny sposób podstawowe prawa do życia milionów Afrykańczyków.

WIZYTA PRZYJAŹNI NOWE RUNDY W GENEWIE I WIEDNIU NADAL BEZ ODPOWIEDZI PO 38 LATACH W KRAJU

W Warszawie składa oficjalną wizytę Nicolae Ceausescu — sekretarz generalny Rumuńskiej Partii Komunistycznej i prezydent SRR. Wizyta ta przyczyni się do dalszego rozwinięcia stosunków między naszymi partiami i państwami.

W wywiadzie dla „Trybuny Ludu”, poprzedzającym przyjazd, Nicolae Ceausescu stwierdził m. in.:

„Przy okazji wizyty przyjaźni towarzyszy nam ustalenie wspólnie, że będziemy działać w celu intensyfikowania współpracy między naszymi partiami i narodami oraz w celu urzeczywistnienia poczynań z zakresu kooperacji produkcyjnej, co stworzy trwałe podstawy dla rozwoju wymiany gospodarczej. Chociaż minęło dopiero kilka miesięcy można stwierdzić, że odnotowano postęp w realizacji tych ustaleń”.

Rozmowy w Warszawie otworzą nowe perspektywy przyjaźni i współpracy dwustronnej i ściślejszego jeszcze współdziałania na arenie międzynarodowej dwóch socjalistycznych państw.

Skalę problemu rozbrojenia, do którego tak często powracamy na tym miejscu, można mierzyć różnorodnie. Wyznacza ją także fakt, że zaledwie 15 gramów materiału wybuchowego starczy, aby unicestwić człowieka, a tymczasem zapasy tylko broni nuklearnej i głowie jądrowych w odpowiednim przeliczeniu dają już 15 ton na każdego mieszkańca naszego globu. Jak słusznie więc zauważył E. Fiodorow — zastępca przewodniczącego Radzieckiego Komitetu Obrony Pokoju, „nie może istnieć dylemat — wyścig zbrojeń albo ich redukcja”.

Długo z uwagą odnotowujemy rozpoczęcie w Genewie kolejnego etapu radziecko-amerykańskich rokowań w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych — SALT-2 oraz wiedeńskich rokowań 19 państw na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.

Jak wiemy — USA skomplikowały przygotowania do nowego porozumienia swoimi próbami zrewidowania ustaleń władzostockich.

Dyskusje zatem nie będą łatwe, a ich powodzenie, tzn. przygotowanie tekstu porozumienia przed wygaśnięciem dotychczasowego, zależy od realizmu strony amerykańskiej. Komentatorzy piszą o nowej rundzie rokowań z umiarkowanym optymizmem, wierząc, że jednak impas zostanie przełamany.

Mniej szans na najbliższy okres daje się rokowi wiedeńskiemu. Początek nowej tury nie zapowiada rychłego postępu. Państwa NATO nadal uchylają się od redukcji swych sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Operując różnymi argumentami zmierzają do narzucenia ZSRR i innym państwom socjalistycznym zasady redukcji nierównomiernie — wciąż powtarzają, że redukcja po naszej stronie powinna być większa. Oczywiście takie asymetryczne obniżenie sił zbrojnych i zbrojeń naruszyłyby obecną równowagę. Inaczej mówiąc — jest po prostu sprzeczne z wymogami bezpieczeństwa.

Przed tygodniem kilka zdań poświęciliśmy na tym miejscu londyńskiemu szczytowi siedmiu najbardziej rozwiniętych krajów zachodnich, zastanawiając się, czy w złożonej sytuacji gospodarczej przyniesie on jakieś pozytywne wyniki.

Wspólny komunikat wymienia problemy, którymi należy się zająć. A więc: zaniechanie zmniejszenie bezrobocia, nie zmniejszanie planowa-

nych wskaźników rozwoju produkcji, popieranie handlu międzynarodowego, pomagając krajom rozwijającym się. Wynika z niego, że wszystkie uczestniczące w szczyście państwa zgodziły się mieć te problemy na uwadze. Na tym jednak kończy się sprawa. Nie znaleziono bowiem wspólnej odpowiedzi na pytania: co w tym celu należy zrobić, kiedy i jak? Tymczasem każda ze spraw wymienionych w komunikacie przynosi wiele kontrowersji co do sposobów rozwiązania. Z tych też głównie powodów oceny londyńskiego szczytu są wielce powściągliwe. Komentatorzy zachodni piszą, że każde państwo pozostało ze swoimi problemami, a drogi rozwiązania problemów wspólnych mogą być w wielu przypadkach rozbieżne.

Z wydarzeń tygodnia wymienimy jeszcze jedno: powrót do ojczyzny przewodniczącej KP Hiszpanii — Dolores Ibarruri, która 38 lat spędziła na emigracji. Mieszkańcy Madrytu zgłoszili jej manifestacyjne przyjęcie. Dodajmy, że w czworo-wybiech wyborach kandydować ona będzie do parlamentu z listy komunistycznej.

Wymieniamy ten fakt, gdyż jest on pewną ilustracją zmian, jakie dokonały się w Hiszpanii po śmierci Franco.

JERZY CZECH

Gdyby nie trzęsienie ziemi w lutym 1976 roku, które spowodowało ogromne ofiary w ludziach, i nie działalność faszystowskiej organizacji „Mano blanca” siejącej spustoszenie i śmierć, Gwatemala pozostałaby do dziś krajem otoczonym grobowym milczeniem. W 1974 roku „Mano blanca” przyznała, iż w przeciągu 8 lat pozabawiła życia 30 tysięcy osób, to jest więcej niż zginęło podczas ubiegłorocznego trzęsienia ziemi. Mówi się, iż Gwatemala jest „krajem zaginionych”. Nie ma w tym ani trochę przesady. W biały dzień „nieznani sprawcy” wlamują się do mieszkań i porywają robotników, członków związków zawodowych, działaczy lewicowych, studentów... Ich rodziny i przyjaciele szukają pomocy u dziennikarzy, sędziów. Stoją u bram wiezień. Ale nikt o niczym nie wie: porwanych dosłownie pochłania ziemia. Propaganda faszystowska obłudnie głosi o praworządności, a w tej samej chwili torturowani ludzie umierają w podziemiach wiezień i policyjnych katowniach. O pogrzebach nie ma mowy: zwłoki skrycie wyrzuca się do morza lub zakopuje w parowach.

A przecież w 1944 roku Gwatemala rozpoczęła proces wyzwolenia, który później ogarnął całą Amerykę Łacińską. Dziesięć lat później padła ofiarą zimnej wojny. Ówczesny amerykański sekretarz stanu, J. Foster Dulles, największy akcjonariusz United Fruit Company (obecnie United Brands), przechrwał się publicznie, że to on zdławił rewolucję w Gwatemali. Zbrojnej interwencji w tym uciążliwym kraju dokonał jego brat — dyrektor CIA, Allan Dulles. Bez przesady można powiedzieć, że imperializm uczynił z Gwatemali poligon doświadczalny różnych form gwałtu. W tropikalnych lasach uruchomiono obozy koncentracyjne, rozpoczęła się masowa emigracja, palenie książek, śledztwa, tortury...

W 1974 roku, w wyniku niestęchanego oszustwa w wyborach, do władzy dorwał się faszysta gen. Laugerud Garcia. Reżim chce zniszczyć nie tylko partyzantów, lecz także demokratyczną opozycję. W. E. Guierres, najpopularniejszy działacz związkowy w kraju, L. C. Flores, przewodniczący ruchu chłopskiego — został w 1966 roku zamordowany podczas tortur, a ich ciała wyrzucono po prostu do morza. Bernardo Monsona, generalnego sekretarza KC Gwatemalskiej Partii Pracy (nosiła nazwę Komunistycznej Partii Gwatemali, zdelegalizowana w 1954 roku — przyp. red.) oraz jego pięciu współpracowników zamordowano w 1972 roku, a jako następca na tym stanowisku — Uberto Alvarado — został zamordowany w 1974 roku. Od roku działa Narodowy Komitet Jedności Związkowej, który walczy z faszystowskim reżimem Garcia i polepszenie warunków życia mas pracujących, demaskuje podporządkowanie dyktatury interesom zagranicznego kapitalu.

W. SŁAWSKI

GWATEMALA KRAJ „ZAGINIONYCH”...

W 1974 roku, w wyniku niestęchanego oszustwa w wyborach, do władzy dorwał się faszysta gen. Laugerud Garcia. Reżim chce zniszczyć nie tylko partyzantów, lecz także demokratyczną opozycję. W. E. Guierres, najpopularniejszy działacz związkowy w kraju, L. C. Flores, przewodniczący ruchu chłopskiego — został w 1966 roku zamordowany podczas tortur, a ich ciała wyrzucono po prostu do morza. Bernardo Monsona, generalnego sekretarza KC Gwatemalskiej Partii Pracy (nosiła nazwę Komunistycznej Partii Gwatemali, zdelegalizowana w 1954 roku — przyp. red.) oraz jego pięciu współpracowników zamordowano w 1972 roku, a jako następca na tym stanowisku — Uberto Alvarado — został zamordowany w 1974 roku. Od roku działa Narodowy Komitet Jedności Związkowej, który walczy z faszystowskim reżimem Garcia i polepszenie warunków życia mas pracujących, demaskuje podporządkowanie dyktatury interesom zagranicznego kapitalu.

Wymieniamy ten fakt, gdyż jest on pewną ilustracją zmian, jakie dokonały się w Hiszpanii po śmierci Franco.

W. SŁAWSKI

ZA PÓLMEKTIEM

W tegorocznym, jubileuszowym Wyścigu Pokoju nie jada wprawdzie dwaj znani polscy kolarze — Stanisław Szozda i Ryszard Szurkowski, ale trudno byłoby powiedzieć, że nie biorą aktywnego udziału w wyścigu. Biorą go bowiem jako komentatorów telewizyjni, a wielce sympatyczny Tomasz Hopfer niknie chwila w cieniu żywiłowego i pełnego temperamentu Stanisława Szozdy. I trzeba uczciwie przyznać, że występy obu kolarzy przed kamerami telewizyjnymi są najciekawszymi momentami w telewizyjnym sprawozdaniu. Chwała więc telewizji, że wpadła na taki pomysł.

Z punktu widzenia widowiskowego, oglądając najbardziej zawsze dramatyczne momenty finiszów na stadionach, czy na ulicach, tegoroczny wyścig nie przedstawia się najlepiej. I nie tylko dlatego, że na żadnym z etapów nie zwyciężył jeszcze Polak, choć bardzo byśmy tego chcieli. Nasza drużyna jechała dość równo. Po ośmiu etapach Tadeusz Mytnik zajmuje trzecie miejsce, a i na takiej samej pozycji znajduje się cała nasza drużyna, ustępując w klasyfikacji zespołowej drużynie NRD i ZSRR. Zauważymy tylko, że wśród ósemki najaktywniejszych nie ma ani jednego Polaka i to właściwie najlepiej charakterystyczny tegoroczny występ naszego kolarskiego zespołu.

Jadą równo, potrafia zająć takie miejsca, że utrzymują swoją trzecią pozycję, ale nie poza tym. Trochę jeszcze za wcześnie na to, aby zastanawiać się nad przyczynami. Poczekajmy do końca wyścigu. Można już jednak zasygnalizować tematy do przemyśleń. Po pierwsze więc — czy nasz zespół był dobrze przygotowany do tegorocznego wyścigu? A po drugie — czy trasa w tym roku dobranej najlepiej? Zdaniem na przykład Ryszarda Szurkowskiego, który wypowiadał się na ten temat, trasa w tym roku jest stosunkowo krótka i łatwa, co nie pozwala na większą rywalizację wśród kolarzy. Nie ma więc tak charakterystycznych dla tego wyścigu ucieczek, nie ma rozbiecia na trasie peletonu na kilka grup, wszyscy jadą razem i dopiero przed samą metą rozpoczyna się atak, kończący się często krakasa. Zdaniem tego doświadczonego kolarza, gdyby stopień trudności Wyścigu Pokoju był większy, to i obsada wyścigu byłaby inna. Więcej byłoby kolarskich indywidualności w zagranicznych ekipach. Ale tu rodzi się wątpliwość, czy nasz zespół mógłby wtedy nawiązać równorzędą walkę?

Nad uwagami Ryszarda Szurkowskiego warto się jednakże zastanowić, bowiem od dłuższego już czasu Wyścig Pokoju rozgrywany jest między ekipami Polski, ZSRR, NRD i CSRS, a inne ekipy zagraniczne traktują tę imprezę trochę na zasadzie okazji do treningowej rywalizacji i otrzaskania się na szosach dla swoich kolarzy.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że w tegorocznym, jubileuszowym Wyścigu Pokoju największymi indywidualnościami są kolarze radziecy: A. Pliksus i W. Osokin, którzy nie tylko przodują w tabeli zwycięstw indywidualnych, nie tylko wygrywają na etapach, ale — co jest tego konsekwencją — przodują również w klasyfikacji na najaktywniejszych. Oni też dostarczają nam, widzom i obserwatorom najwięcej emocji. W ostatniej części tegorocznego Wyścigu Pokoju kolarze wjadą na górskie etapy i może dość do pewnego przesławania w klasyfikacji. Poza tym i pogoda na górach nie jest najlepsza, chociaż nie są to najwyższe góry. Mimo takiej możliwości w zasadzie wyścig jest już prawie rozstrzygnięty, przynajmniej, jeśli chodzi o klasyfikację zespołową. Ale popatrzymy jeszcze z przyjemnością i zainteresowaniem na dalsze zmagania kolarzy, prezentowane nam przez TVP oraz posłuchamy interesujących uwag Stanisława Szozdy i Ryszarda Szurkowskiego.

Warto też odnotować, że nasza drużyna piłkarska w trochę zmienionym składzie odniosła zwycięstwo nad zespołem Cypru, a stało się to na Cyprze, w Limassol, gdzie zdarzały się już różne niespodzianki. Polscy piłkarze wpisali więc na swoje konto dalsze dwa punkty, umacniając swoją pozycję w pierwszej grupie. Przed polską ekipą jeszcze dwa mecze: z Portugalią i Danią, które piłkarze nasi będą rozgrywać na swoim terenie. Najgroźniejszym obecnie przeciwnikiem są Portugalczycy i chociaż kibice różnie czynią kombinacje, to po prostu najlepszym i najefektywniejszym sposobem dostania się do Argentyny w 1978 roku jest wygrać oba mecze.

Różnie można mówić o stylu gry polskiego zespołu, nie był on może najlepszy, ale okazał się skuteczny. Pociągająca jest to, że w wypadkach kryzysowych Jacek Gmoch ma z kogo zmontować jedenastkę, która potrafiłaby sobie poradzić i nie traciłaby głowy nawet wtedy, kiedy po błędach obrony przeciwnik strzela gola, którego nie powinno być. Mecz polskiego zespołu z drużyną z Cypru mogliśmy w najlepszych fragmentach obejrzeć w telewizji, ale całość wysłuchaliśmy przez radio. I tu jeden z moich znajomych dokonał interesującego spostrzeżenia: telewizja tak zniszczyła nam wyobraźnię, że słuchanie sprawozdania nie daje prawie zupełnie obrazu tego, co dzieje się na boisku. Pamiętam sprawozdanie radiowe, oglądałam później fragmenty gry naszego zespołu i wyglądało to zupełnie inaczej niż starałam się to sobie wyobrazić. Nie ma na to jednak rady.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH

(5)

— Człowieku, żeby ty miał teraz tyle złotych, tyle tych marnych złotych, ile przy mnie otworono butelek, byłbyś bogaty. Ale nawet od bogatych falanster pieniędzy nie bierze, bo ma swoje, kapujesz?

— Kapuję, ale to chyba nie jest zgodne z prawami ekonomii. Falanster nie czerpie z wartości dodatkowej, to jasne, z czego w takim razie żyje? Bardzo to nie jasne.

— Z dotacji. Słuchaj, czy ty od razu musisz wszystko wiedzieć?

— Skądże! Wiedzę zdobywa się latami.

Prezes Falansteru pod Zieloną Konieczną napełnił kieliszki, po czym zabrał się sprawnie do otwierania puszek. Karol znalazł ten obyczaj obowiązujący wśród byłych partyzantów. Otwarta puszka z wołowiną, czasem szynką, krewetki, ślimaki, takie to nowości wchodziły na stół, ale nigdy na talerzu, w blaszance, koniecznie w blaszance, w ręku nóż, widelec zbyteczny. Krajesz co chcesz, ile chcesz, tylko mlaskać nie wolno.

— A jednak, prezesie, muszę zapytać — na jakiej zasadzie ekonomicznej funkcjonuje falanster. Dlaczego nie chcesz mi tego powiedzieć dokładnie?

— Dlatego, że na rynku brakuje teraz bardzo poszukiwanego towaru. Słyszałeś o zaufaniu?

— Obiło mi się o uszy. Trzeba je mieć, prawda?

— Właśnie! Jak myślisz, Karolu, można mieć — na przykład — zaufanie do ciebie?

— Można.

— Widzisz, nie jestem tego pewien. Zadajesz się z Królem Fideistów...

— Mylisz się, to oni próbują zadać się ze mną — przerwał Karol.

— Niech ci będzie! Przyjmijmy wobec tego, że ci wierzę. Za wzajemne zaufanie! Za przyszłość!

Karol wypił chętnie, jeszcze chętniej zakąsił. Niewiele dotąd wiedział o Falansterze pod Zieloną Konieczną. Była to grupa studentów, nieformalna, nigdzie nie rejestrowana i nie wiadomo jak duża.

Polityczne przekonania członków Falansteru pod Zieloną Konieczną nie leżały rzecz prosta — na wierzchu. Może zresztą nie odgrywały głównej roli? Tego Karol nie wiedział. Na zewnątrz chodziło o zwykłą, koleżeńską pomoc. Ciągnęły do tego szarego, zapracowanego miasta tysiące młodych ludzi, jedni po pracę, inni po naukę, jak do ziemi obiecanej. Do mów akademickich było tyle co kot napłakał, kieszenie puste, więc jak któryś obladowany przeważnie wielkimi nadziejami trafił do falansteru, a przypadek prezesa, do gustu, otrzymywał w niewiadomy sposób dach nad głową, czasem nawet pracę, stosowną do potrzeb akademika, powiedzmy — stróża nocnego, szatnia w nocnym lokalu, pomocnika w restauracyjnej kuchni, mocniejsi dźwigali bale wełny, bawelny. Ceniono pracę w magazynach, bileterów w kinach, agentów prywatnych firm, nie związanych z koniecznością regularnego wysiadywania za biurkiem podczas dnia, kiedy odbywały się wykłady i seminaria. Musiała więc sprawnie działać siatka związków falansteru z miastem.

— No to powiedz, czego chcesz, Karolu? Dlaczego tak nadrabiasz miłą?

— Nie mam innego wyjścia.

— Pytam czego potrzebujesz? W tej chwili nie dysponujemy wolnymi posadami.

— Chodzi mi o dach nad głową.

— Spaliłeś się?

— Coś w tym rodzaju.

— Dostaniesz jeszcze tylko jednego kielicha, nie chcę, żebyś się zrobił wylewny. Teraz, tak to na razie jest, każdy dysponuje długim, rzecznym życiorysem przy wódce i brakuje mu życiorysu, kiedy wypełnia ankietę personalną.

Karol roześmiał się. Prezes falansteru znany był jako dobry ekonomista, zaginał nawet czasem profesorów, no a teraz błysnął dowcipem.

— O moim życiorysie nie powiem ani słowa, prezesie.

— To zmienia sytuację, możemy wypić więcej. Dlaczego straciłeś mieszkanie?

Rad nierad opowiedział Karol historię sztandaru. Postanowił wprowadzić milicję na ten temat, może nawet do końca życia, no, ale czy to wiadomo, co człowieka spotka, co będzie zmuszony powiedzieć, aby uzyskać elementarne prawo do dachu nad głową? Prezes wykazał duże zainteresowanie a nawet podniecenie.

— Musimy ten sztandar przejąć.

— Bardzo proszę, przejmujcie sobie, mnie interesuje tylko mieszkanie, może być nawet marna melina, bylebym miał gdzie wracać na noc.

Prezes napełnił kieliszki.

— Nie ma problemu z mieszkaniem, zaraz dostaniesz skierowanie. To będzie coś elitarnego, w sam raz dla pana Zesławskiego. Podtrzymuje zarządzanie w sprawie drugiej butelki na stole. A ten sztandar musimy mieć.

— Nie stawiam przeszkód, prezesie. Boję się tylko, że nie dadcie rady. Gabinet sekretarza Głuszcza jest dobrze strzeżony.

— A kuku!

pochopna i nie przemyślana, rozumiesz? Czy mam ci wywalić kawę na ławę.

— Chciałbym się trochę zastanowić.

— Pomyśl w takim razie, a ja udam się na stronę, jak mawiali twoi przodkowie.

Karol został sam. Prezes, tak to będzie, przedstawi za chwilę ofertę, przepisze receptę, a po jego pigułkach dobre samopoczucie mrowiane. Nie polknę żadnej pigułki — postanowił — gorzkie mi tu świństwa proponują, dlaczego mam mówić jednemu co od drugiego słyszałem, co mnie obchodzi sztandar, który nikomu nie służy? — A kuku!

— Wie pan, to wszystko jedno, do mnie czy męża. Bardzo proszę.

Wprowadziła go do obszernego pokoju na piętrze.

Balkon wychodzi na nasz ogród. Lubi pan zaniedbane ogrody?

— Tak sobie.

— A ja bardzo, są kontemplatywne, prawda?

— Oczywiście, pani pozwoli, że się przedstawię? Karol Zesławski.

Pocałował długą, rasową dłoń.

— Na obraż sprawę to ja pana znam.

— Miło mi, ale skąd?

— Z listu pana cici, który odebrał niedawno Krzysztof, czytał mi, my nie mamy żadnych tajemnic przed sobą, chociaż prawdę mówiąc żyjemy w różnych światach, stąd takie interesujące przenikanie wzajemne. Lubi pan przenikanie?

— A jakże, to bardzo interesujące — odpowiedział nieco zaskoczony. Przyszło mu nawet na myśl, że piękna pani Zagórzeńska niezupełnie jest normalna.

— Wie pan, że początkowo nie bardzo rozumieliśmy o co chodzi, no bo pańska ciocia pisała w znakomitym zresztą stylu tak, jakby pan już u nas był. Rozumiem teraz, że to musiało przejść przez prezesa. Ma to dodatkowe znaczenie, prawda?

Spojrzała mu porozumiewawczo w oczy.

— Jasne, że ma.

— Będziemy jak w rodzinie, więc myślę, że nie należy pana u nas tytułować hrabią, dobrze?

— Znakomicie.

— Opróżniłam panu regał na książki.

Karol doszedł do przekonania, że Krzysztof Zagórzeński musi być psychiatrą i niezłym figlarzem, ożenił się ze swoją pacjentką, no i leczy ją. Do zdrowia psychicznego jeszcze kawałek, ale cóż u kobiety należy duch przy tak wspaniałym cieciu.

— Pan grywa w brydża?

— Niech mnie Bóg broni, nie grywam w karty ani w szachy; nie mam także na loterii państwowej, nie zbieram znaczków pocztowych, liści, motyli i etykiet po butelkach.

Klasnęła w dlonie.

— To cudownie, zostaniemy przyjaciółmi, prawda?

— Z natychmiastowym skutkiem.

— Odpowiada panu konwencja towarzyska kuzyna?

— Odpowiada — Karol nie bardzo rozumiał o co właściwie chodzi.

— Stefcia, nasza domicella, wyjechała na kilka dni, Krzysztof ma dzisiaj brydżka. same kłopoty jednym słowem, ale pan mi pomoże, kuzynie, prawda? Zaparzę herbaty, dobrze?

— Bardzo dobrze.

Pobiegła ku drzwiom, zawróciła jednak.

— Słuchaj kuzynie, powiedział mi prawdę, pijesz?

— Nie specjalnie.

— Czuję przecież, nienawidzę pijanych mężczyzn.

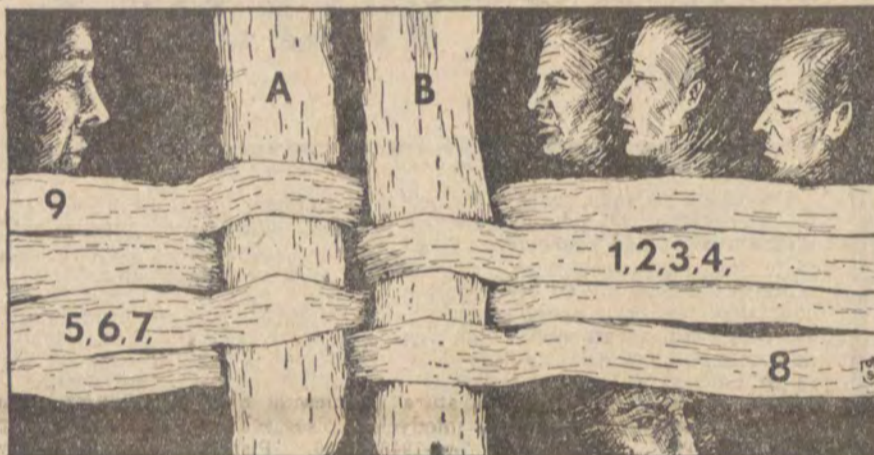
— Prezes mnie częstował, nie mogłem odmówić, to typowy agresor przy kieliszku.

— Marzę o życiu wolnym od konwencji i nalogów. Rozumiesz mnie?

— Możemy razem marzyć.

Odeszła. Karol wsunął się głębiej w głęboki fotel zdziwiony tym właśnie, że się nie dziwi. Cóż, wszystko jest w końcu możliwe, czyli — inaczej mówiąc — na swój sposób naturalne. Z nominacji cici, został atrakcją, życie wyznaczyło mu rolę ojca samotnej dziewczynki, trudną i wzruszającą. Jest także osobnikiem co najmniej podejrzanym politycznie, tak jest, ale równocześnie liczą się z nim, zabiegają o niego pewne sfery polityczne. Może pracować głównie uchem, a może też ukończyć chyba z powodzeniem studia, wyprawic się na zachodnią ziemię, starosta zostać, samodzielnym przedsiębiorcą, wytworzyć potrzebne lustro z aktorami, albo guziki, kalafiora hodować. Dużo możliwości, sek tylko w tym, którą wybrać? A może one wybierać ją sobie partnera nie pytając o zgodę?

Wiesław Jajdzynski

przygody
źle urodzonego
studenta

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Znajdziemy dojsie, nie do takich gabinetów trafialiśmy. Za przyszłość!

— Chętnie, ale mówię ci już przecież, nic nie wiem o przyszłości, swojej ma się rozumieć, bo tak w ogóle to jest świetlana.

Prezes pochylił się nad stołem, jego twarz, oświetlona odległym światłem bocznym, ostro zarysowana, napięta, zdradzała duże zainteresowanie losem Karola.

— Chcesz, żebyśmy się zajęli twoją przyszłością?

— My, to znaczy kto?

— Na przykład akademickie stowarzyszenie ekonomistów.

Mocna instytucja. A co to mnie będzie kosztowało?

— Nie wiem. Na razie odpowiadam na pytania, komentarz nie jest konieczny, ale dopuszczalny. Rzucił nam się w oczy, że Lapasjonaria i Król Fideistów chodzą za tobą. Czego chcą od ciebie?

— Wiernej służby.

— Możesz tego tematu nie rozwijać. Masz jakiegoś haka w życiorysie? Oni lubią takich.

— To jest tak, prezesie. Mam haka z ich punktu widzenia.

— A naprawdę?

— Jestem czysty, ale czy to wiadomo jaka w końcu prawda utrwali się o człowieku? Przechodzę wyraźnie pojęcie deterministy, wiesz? Czuję, cholera, czuję, że zjedzą mnie okoliczności bez mojego udziału.

Bywa, owszem, bardzo często, ale nie musi. Jakże ci postawili warunki?

— Wierna służba w najgłębszej ciemności, albo wylecieć ze studiów.

— Domyślałam się co wybrałeś, jeśliś trafił do mnie. Zakładam ostry protest w sprawie twojej decyzji, jest

Karol podskoczył na krześle.

— Zgrabnie się skradasz do człowieka.

— Zdać ci się, po prostu jesteś nieważny. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Dzwoniłem gdzie trzeba, mniejsza o adres, nie wylecisz ze studiów, wykazujesz bardzo dobre postępy i to cię broni, a zmiana lokalu może ci się przydać. Weź tę kartkę.

— To wszystko?

— Wszystko. Chciałem jeszcze jedno wiedzieć...

— Nie nadaję się do żadnej wiernej służby, przeniesiony do rezerwy bez odbycia odpowiednich ćwiczeń.

— W porządku, nie namawiam do niczego, może kiedyś sam zapukasz do właściwych drzwi. Bądź zdrow i nie chwal się naszą rozmową.

Karol pojechał tramwajem na północ miasta, do dzielnicy willowej, pięknie rozłożonej w cieniach uliczek przy parku. Przystanął przed elegancką willą, spojrzął na wizytówkę, podświetloną żarówką i omal nie krzyknął — Krzysztof Zagórzeński. Zmyślił prawdziwe nazwisko? Przeczytał jeszcze raz — Krzysztof Zagórzeński. Zadzwoń! Drzwi otworzyła mu po chwili czarna dama. Już się nie dziwił, to tak powinno być, jak w starym romansie pełnym niespodzianek, albo filmie kryminalnym. Nie mógł dostrzec jej twarzy w mroku, wyobrażał jednak sobie, że późnym wieczorem, w zaciętej willi ukrytej w bukiecie drzew, można spotkać najczęściej tajemniczą i piękną kobietę.

— Pan do męża?

Niski, ciepły głos.

— Nie bardzo wiem do kogo.

Podał kartkę, którą napisał prezes falansteru. Zapaliła światło, na kartkę ledwie spojrzęła, przyglądała się natmiast uważnie Karolowi.

(cdn.)



ZAMOR-DOWANA KRÓLOWA

"Zamordowana królowa" to drugi tom wielkiego cyklu historycznego pt. "Królowie przekleci", którego autorem jest francuski pisarz Maurice Druon. Cykl ten miał przed laty swoje pierwsze polskie wydanie. Obecnie Wydawnictwo Literackie zdecydowało się na jego powtórny edycję, szesnaste wydanie, ze i tym razem powieści Maurice Druona zdołały sobie wielu zwolenników.

Pierwszy tom cyklu — "Król z Żelaza" ukazał się tuż przed publikacją "Zamordowanej królowej" i poświęcony był panowaniu Filipa IV zwanego Pięknym, sprawującemu swoje rządy we Francji w latach 1285—1314. Drugi tom ukazuje wycinek dziejów Francji podczas krótkiego panowania syna Filipa IV — Ludwika X Kłótliwego. Warta akcja powieści opowiada o małych krótkich krótkich Ludwika X i intrygach panów feudalnych, walczących o wpływy w rządach.

Popularność powieści historycznych Druona nie jest przypadkowa. Wyraźnie sylwetki bohaterów, opisy ograniczone do minimum, żywe, potoczne dialogi prowadzone nierzadko w powieści sensacyjnej sprawiają, że odległa bądź co bądź historia Francji staje się dla współczesnego czytelnika pasjonującą lekturą. Przypominamy, że w cyklu "Królowie przekleci" ukazał się jeszcze następujące tytuły: "Trucizna królowicza", "Prawo mężczyzny", "Wilczyca z Francji", "Lew i lilie".

Maurice Druon — "Zamordowana królowa", przełożyła A. Jedychowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, str. 224, cena zł 30.

DRZEWO BIAŁEJ MORWY

Zmarła w 1947 roku Willa Cather, zaliczana jest do najwybitniejszych pisarek amerykańskich pierwszej połowy tego stulecia. Na jej twórczości silnie zaważyła młodość, którą spędziła na rodzinnej farmie w północnej Wirginii. Była to okres Ameryki jeszcze piśmiarskiej. Do Stanów Zjednoczonych przybywali ludzie z różnych stron, przede wszystkim z Europy, osiedlali się, budowali nowe domy, stawiali się częścią nowej społeczności. Pisarka nie raz będzie w swoich książkach powracać do tej epoki, z sentymentem, z nutką żalu, a jednocześnie z całym fizycznym kłopotem chroniącego od zapomnienia klimat tamtych heroiczyzmów, ale i nie pozostawiając romantyzmu lat. Te sprawy są tematem powieści, która ukazała się w popularnej serii "Kolibra", a noszącej polski tytuł "Drzewo białej morwy". Polski, bo oryginalny, opublikowany w roku 1913, nosi tytuł "O Pionierach". Książka opowiada o trudnych nie pozabawionych dramatycznych sytuacjach losach szwedzkiej rodziny osiedlonej. Dla polskiego czytelnika pewnym zaskoczeniem będzie chyba fakt, że dla swojej epickiej opowieści Willa Cather wybrała motto z "Pana Tadeusza".

"Drzewo białej morwy" to płyta z kolei przekład prozy amerykańskiej pisarki. Wcześniej ukazały się powieści "Dom pana profesora", "Śmierć przychodzi do arcybiskupa", "Mój śmiertelny wróg" i wydana również w serii "Kolibra" — "Utracona".

Willi Cather — "Drzewo białej morwy", przełożyła A. Demkowska-Bohdziewicz, KiW, W-wa 1977, str. 223, cena zł 12.—

KOCHAM

"Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że sporo czytelników wzięło tę książkę do ręki głównie z powodu jej tytułu (...). Sądząc, że czytelnicy ówi nie doznali zawodu, jest to bowiem istotnie bardzo reprezentatywny przekład mitologicznej opowieści Majakowskiego. Ale również wszyscy ci, którzy wielkiego poetę rosyjskiego lubią słyszeć przemawiającego „pełnym głosem”, zostali tu chyba wystarczająco usatysfakcjonowani. Bo tylko pozornie tytuł „Kocham” może uchodzić za zawężenie problemu. Tak więc jest to książka dla wszystkich miłośników Majakowskiego. Uwzględnione zostały przecież najwybitniejsze jego dzieła. A ponieważ poeta niemal każdy swój utwór komponował wieloplanowo — również w tych w których dominuje liryka miłosna, dochodzi zazwyczaj do głosu inne pasjonujące go sprawy. Przejawia osobiste, często najintymniejsze, rzucane są na rozległe tło burzliwej epoki". Ten fragment posłowa Adama Włodki, który również dokonał wyboru poezji Włodzimierza Majakowskiego, zawartej w tomie „Kocham”, starczy chyba za najlepszą rekomendację. Powinni po tę książkę sięgnąć, przede wszystkim ci, którzy znają Majakowskiego tylko z tych wierszy gdzie poeta przemawia własnie „pełnym głosem”. Tutaj, ten sam Majakowski pisze o miłości. Po swojemu, pięknie, choć często brutalnie, często gorzko. Słowa uznania należą też również edytorowi. Książkę przygotowano bardzo starannie, a polskie przekłady sąsiadują z oryginalną wersją.

Włodzimierz Majakowski — "Kocham", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, str. 191, cena zł 60.—

ZIELONY HENRYK

W Bibliotece Arcydzieł, której patronuje PIW, ukazała się obszerna, dwutomowa powieść Gotfryda Kellera "Zielony Henryk", która określa się jako jeden z najpiękniejszych i najbogatszych utworów niemieckiej prozy ubiegłego stulecia. Gotfryd Keller (1819—1890) napisał autobiograficzną powieść, traktując ją jako "książkę swego przeznaczenia". Powstała ona między innymi i dlatego, że Keller, który ukończył studia malarskie w Monachium, doznał potem gorzkiego zawodu. Po prostu nie sprawdził się jako malarz. Rozważania nad samym sobą doprowadziły Kellera do pomysłu napisania "małej smutnej powieści o tragicznej karierze młodego artysty, która staje się jurzyca śmierci zarówno malarza jak i jego matki". Ostateczna wersja powieści krystalizuje się bardzo długo. W latach 1846—47 powstała tylko fragmenty. W roku 1850 Keller zaczyna pisać całość, która ukazuje się w roku 1855. Ale nie jest to koniec pracy nad "Zielonym Henrykiem". Po dwudziestu latach autor uznaje, że pierwsze wydanie nie zadowala go i znów wraca do powieści. Nowa, poszerzona i przerobiona wersja powieści ukazuje się ponownie w roku 1880. Teraz dopiero bohater książki Kellera może być oddany jego własnym doświadczeniom, teraz, z perspektywą lat, spojrzem na własne życie nabiera nowego głębszego i dojrzalszego wymiaru. "Zielony Henryk", realistyczna autobiografia, to również cenny dokument epoki.

Gotfryd Keller — "Zielony Henryk", przełożyła I. Czarnakowa, PIW, W-wa 1977, t. I/II, cena zł 120.—

WARTO PRZECZYTAĆ

- Machado de Assis — "Quincas Borba" — WL 1977, zł 35.—
- Danuta Frey — "Ostrze noża" (Ewa wzywa 07) Iskry 1977, zł 10.—
- Kamil Głazycki — "Polowania egzotyczne". Ossol. 1977, zł 35.—
- Florian Stasiak — "Adam Gurowski 1865—1866". PWN 1977, zł 60.—
- Julij Kagarlicki — "Co to jest fantastyka naukowa?". Iskry 1977, zł 45.—
- Ewa Kuryluk — "Salome albo o rozkoszy", WL 1977, zł 90.—
- K. Makuszyński, M. Walentynowicz — "Druga księga przyrodnicza Kozłolka Matolka". WL 1977, zł 18.—
- Arthur Sandauer — "Bóg, Szatan, Mesjasz L...?" WL 1977, zł 150.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

WCIAŻ ŻYWI SKAMANDER

Grupa literacka "Skamander" jest legendą międzywojennej literatury, ale też na ową legendę w pełni zasługuje. Działalność pisarska członków tej grupy i ich wieloletnie inicjatywy na terenie ówczesnego życia literackiego czynią z niej zjawisko kluczowe w dziedzinie wiedzy o współczesnym życiu literackim.

Monografia Janusza Stradeckiego "W kręgu Skamandra" to oryginalna propozycja badawcza z zakresu socjologii literatury, a więc dziedziną stającą dopiero pierwsze kroki. Wydawca — a jest nim Państwowy Instytut Wydawniczy — reklamuje tę książkę jako swego rodzaju bestseller czytelnicy, ponieważ dotyczy ona niezmiernie ciekawych i atrakcyjnych zjawisk i wydarzeń. "W kręgu Skamandra" może istotnie liczyć na żywe zainteresowanie nie tylko fachowców, ale i szerszych krę-

gów czytelników. Jest to bowiem prawdziwa kopalnia wiedzy o realiach międzywojennego życia literackiego, zapoznawczy z materiałami dotąd badawczo nie wyzyskanym, z faktami po raz pierwszy w takim zakresie zarejestrowanymi...

Słowem, jest to naukowo udokumentowana opowieść o Skamandrze, jednym z największych zjawisk międzywojennej literatury. Rzecz ciekawa — Skamander był gwałtownie zwalczany — i to jak! — a jednak jego pozycja w literaturze żadna inna grupa pisarska jak dotąd zagrozić nie może.

Atakowano więc skamandrycki model poety-uczestnika, zaangażowanego w codzienne sprawy współczesności. Obiektem ataku stały się skamandryckie koncepcje patriotyzmu bez szowinizmu, zasady świeckiej etyki itp. Atakowali zatem skamandryty Adolf No-

waczyński i Władysław Rabiski, Stefan Krzywoszewski i Adam Grzymała-Siedlecki... Iwaskiewicz nazywano „patologicznym erotomanem”, a Tuwima „bolszewikiem”, choć żaden z nich nie był jednym ani drugim. Pisano o skamandrytach, że „rozleźli się jak pluskwy po mieście”, demolowano redakcję „Skamandra”, odwoływano wieczory autorskie skamandrytów...

A jednocześnie — z zupełnie innych pozycji — atakowali Skamandra Przybysz i Peiper, za rzekoma zaściankowalność, a intelektualizm, prowincjonalizm, bezprogramowość, za stosunek do języka, za opisową formę wiersza, za monotonię strof o regularnym rytmie i rytymie, za muzyczność owej poezji, za...

Krytyczny stosunek do Skamandra prezentowała również lewica literacka. Nawet cała lewica, co udowodnia Marian

Stępień w pracy „Ze stanowiska lewicy”, wydanej trzy lata temu w Wydawnictwie Literackim. Atakował zatem Skamandra socjalistyczny „Naprzód” i komunistyczna „Nowa Kultura”, Standa i Wandurski, pisarze skupieni wokół „Dźwigni” i „Miesięcznika Literackiego”...

Zadna chyba grupa literacka nie otrzymała takich cieżarów ciągu niespełna trzydziestu lat działalności. I oto — prozę bardzo! — w sześćdziesiąt sześć lat po narodzinach i w trzydziści ośmiem lat po jej zgonie, jest to nadal żywa, budząca zainteresowanie badaczy i czytelnika grupa poetycka, oddziałująca swój ślad w historii literatury.

Bowiem mijają lata i spory, piach przysypuje groby powołów, a pieśni? Pisał Adam Mickiewicz — poeta szczególnie przez skamandrytów wielbiony: „Plomien rozgryzie malowane dzieje (...) — pieśń ujdzie cało”. Książka Janusza Stradeckiego jest jeszcze jednym potwierdzeniem słów Wieszcza Adama.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CO ZROBIĆ Z TAMTYMI FOTOGRAFIAМИ?

Z okazji Dnia Zwycięstwa wszystkie pisma zamieściły wspomnienia i artykuły, związane z owym majem sprzed trzydziestu dwóch lat. Niektóre z tych publikacji są absolutnie wstrząsające, i to wcale nie w sensie retrospektywnym, nie dlatego, że dotyczą niedostępnych wstrząsających rzeczy i spraw. One wstrząsają dlatego, że dzieją się dziś, w naszym kraju, pomiędzy nami, którzy nosimy w pamięci, niezbywalne ślady wojny, walki i masowej śmierci.

"Literatura" zamieściła dwugłos o młodych pisarzach z roczników 1946—1950. Pisarzy tych atakuje ostro i celnie, z dosadną a — niestety — przekonywującą goryczą Andrzej Chruszczyński, broni ich stabilnie, paroma nader wątpliwymi, epizodycznymi cytatami Wiesław Krzysztozek. Mimo niemałej ochoty włączenia swoich trzech głosów w ów dyskurs (żeby nie było wątpliwości przyznaje się od razu: byłbym protagonistą Chruszczyńskiego), powtórzę tylko za pierwszym artykułem parę zdań z "Wier- wiaro weteranów" Marka Har- nego:

"Oddał mocz do pisuaru. Potem, chwycając się, wyciągnął portfel i wydobyl z niego fotografię. Fotografia przedstawiała dwóch młodych rozesmiatanych mężczyzn, ubranych w polowe mundury. Stali oparci o tablicę z napisem: „Ach-tung! Banditengefahr! Przez piersi przewieszzone mieli pistolety maszynowe „sten”. Okuniewicz przedarł ją przez pół, a potem jeszcze raz i szczerki wrzucił do pisuaru".

No więc tak. Minęło tych głupich trzydzieści parę lat i najwyższy czas zdaniem młodych pisarzy, przynajmniej niektórych — wrzucić do pisuarów fotografie partyzantów, a najpierw podrzeć je starannie, ośmieszyć i wyszydzić. Tadeusz Borowski to przewidywał:

"Zostanie po nas złom żelazny i gluchy, drwiący śmiech pokoleń". Złom też został, owszem. Jeszcze dziś gdzieś tam w niebuchnie coś pod kimś, kto nie chcący wdępnał na kawalek wojennego złomu. Wyobraźcie sobie, że „chcący”, świadomie, wchodząc na pole o którym wiadomo, że co krok leży coś takiego co wybuchną, a jeszcze

z góry wali się ulewa ognia i żelaza. Nie, nie wyobraźcie sobie. To i lepiej, bo może znów ktoś by się zaczął śmiać i popluć...

Obrzydliwi, załgani weterani straszą w opowiadaniach, pisanych przez młodych, dla których „nie ma ani jednej postaci człowieka starszego o pokolenie, w stosunku do którego nie czułoby się niechęci czy przynajmniej zimnej obojętności”. (Chruszczyński). Obrzydliwi — z wyjątkiem Okuniewicz, który jest trochę lepszy, bo wyrzuca swą wojenną przeszłość wraz z oddawanym moczem — weterani straszą, a jednocześnie czytamy w „Kulturze” reportaży Aleksandra Rowińskiego z RFN, gdzie w pewnym ustronnym domu żyje siedmiu żołnierzy Września:

"Jeden na leżać, dwóch na inwalidzkich wózkach, reszta poruszająca się o lasce lub kulach. Jeden z siódemki, wieśniak wyrwany na wojnę od pluga z polskiego zapiecka, nie umiał czytać ani pisać. Nie zdążył się już nauczyć. Miałby się uczyć po niemiecku? — mówi. Więc nie nauczył się pisać po niemiecku i nie umie po

polsku, wszakże dobrze trzymał karabin w trzydziestym dziewiątym. Kto chce pamiętać o tym w roku 1977?"

Siedmiu żołnierzy to jedna z resztek tej grupy polskich żołnierzy, która przeżyła zsyłki, więzienia i obozy, ale wyszła z nich okaleczona, chora, niedołężna. Umierali masowo w plu-gawych szpitalach dla wygnawców, potraceni przez wszystkich, odpychani, wszędzie obcy. Żywił ich i żywił do dziś z łaski dobroczynnych organizacji międzynarodowych. Wrócić nie mieli do kogo, ani nie mieli siły, ani nie mieli za co. Przez dwadzieścia lat legalna droga z RFN na wschód była szczerze zatrzaśnięta, teraz jest za późno. Wyobraźcie sobie trzydzieści parę lat takiego życia, — a potem — kto może — niech napisze o tym w tonacji alkoholowo-wychodkowej. Przynajmniej zwróci na siebie uwagę jako młody kontestator i nonkonformista, a jeszcze młodszy krytyk poklepie go ze zrozumieniem po łopacie takim na przykład zdaniem:

"Problem tematu współczesnego w prozie jawi się jako problem języka tej prozy, a nie jej takich lub innych predelekcji moralnych" (Krzysztozek).

Wszystko jedno o czym i jak, byleby odpowiednim językiem. Oczywiście pełnym „mocnym” słów, bo wreszcie coś mocnego musi być na tym najnudniejszym ze światów...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CNOTA I KRYTYKA

Co roku dziennikarze dostają nagrody za swoją pracę, za najlepsze publikacje, za dobre redagowanie gazet, za dobre audycje radiowe czy telewizyjne. I bardzo dobrze. Te nagrody wręcza się w maju, kiedy jest między innymi światło prasy. Właśnie przed kilku dniami „Głos Robotniczy” donosił, że w tym roku wśród laureatów nagród Słowa-rzyszenia Dziennikarzy Polskich znaleźli się dwaj dziennikarze łódzkiej gazety: Marian Bańbura i Aleksander Batorowicz. W komunikacie, który ukazał się na pierwszej stronie „GR” wymieniono jeszcze kilka nazwisk, wśród których nie ma Walerego Pisarka. Na końcu notatki znajduje się natomiast takie zdanie: „W imieniu nagrodzonych podziękował Walery Pisarek”. Niby dlaczego on?

Wyjaśnienie znajduje się w „Trybunie Ludu”, gdzie w informacji o nagrodach dla dziennikarzy donosi się i o tym, że „po raz pierwszy nagrodę zespołu starszych dziennikarzy za popularyzacje czystości i piękna języka polskiego” wręczono właśnie Waleremu Pisarkowi, który pracuje w krakowskim ośrodku prasowym.

Jeden z nagrodzonych kolegów „GR” pełniąc nośny dyżur skrócił informację nadaną telefaksem z Warszawy przez PAP, wykreślając fragment o Walerym

Pisarku, a zostawiając ostatnie zdanie, co jest błędem w sztuce dziennikarskiej i przypomina te „słonne” już sprawozdania z uroczystości odznaczania różnych zastępów ludzi, w których pisano o tych, co na uroczystości przybyli, co orderzy do piersi przypinali, ale o tym, komu te orderzy przypinano, bo ci byli w tym wszystkim najważniejsi, ani słowa.

W tym wypadku błąd jest znacznie mniejszy i można go potraktować z humorem, a wcalekogo na światło dzienne, gdyż znakomicie ilustruje pewną tezę. Otóż fakt ten — jak już wspomnieliśmy raczej humorystycznie — wcale nie przekreśla sukcesu, jak i odnieśli wspomniany dziennikarz „GR”. Dostali nagrodę i to jest fakt. Zrobili drobna pomyłkę i to też fakt, ale jedno nie przeszkadza drugiemu, dyżer przez całą jest rozważana na płaszczyźnie teoretycznej. W praktyce, kiedy krytyka staje się faktem, zawsze można znaleźć kilka powodów, dla których okazało się, że lepiej było nie krytykować.

W naszym postępowaniu bardzo często opieramy się na zasadzie, która można sformułować w dość znany sposób: Kowalski ukradł, czy Kowalski ukradł, dokładnie jeszcze nie wiadomo, ale faktem jest, że Kowalski oiarł się o kradzież, więc lepiej z Kowalskim być ostrożnie. Ież to ludzi czuje nagłe pustkę koło siebie, kiedy pod ich adresem padną krytyczne uwagi. Jakże często staramy się zapomnieć nawet o tych, których chwaliśmy, kiedy okaże się, że

również bładzili. A przeciw krytyka ma ludziom pomagać w przewyżnianiu słabości, braków i niedociągnięć.

W naszej krytycznej praktyce zapominamy bowiem o drugim niejako członie, o samokrytyce. Był czas, kiedy pojęcie to zostało zdeprecjonowane, kiedy samokrytyka była sformalizowana, kiedy była postrachem i równała się masochystycznemu samobiczowaniu. Warto jednak przywrócić właściwe proporcje i znaczenie temu pojęciu. Warto uświadomić sobie i innym, że samokrytyka nie jest żadną formalnością, nie jest obrzędem, a jest to po prostu umiejtność krytycznego oceniania własnej pracy, postawy, sposobu myślenia, że wiąże się z praktyką i z jej wynikiem. Wiadomo, że łatwiej jest dostrzec belkę pod lasem niż źdźbło we własnym oku, ale trzeba pamiętać nie tylko pod cudzy las, ale też i sobie w oczy. A my często tego unikamy. Umiejętność widzenia błędów u bliźnich nie zwalnia nas z obowiązku nie dostrzegania ich u siebie. Przeciwnie, nakłada taki obowiązek. Tylko, że jest nam bardzo wygodnie o nim zapominać. Krytyczny stosunek do własnej pracy i postawy też nie przekreśla naszych osiągnięć i naszego zadowolenia z sukcesu. Po prostu powinno nam pomagać w tym, aby pracować i postępować lepiej. Więcej krytyki w stosunku do siebie, a i krytykę innych bezdłuski znosić łagodniej i we właściwych wymiarach, traktując ją jako pomoc a nie napaść.

MARCIN RODAK

Dobiega końca spracowany sezon piłki nożnej (główni księgowi rozliczają 20.000 biletów z ostatniego meczu na którym było 40.000 widzów) i rozpoczyna się pracowity sezon dziesiątek letnich festiwali, zainicjowany Międzynarodową Wiosną Estradową w Poznaniu (koszt ok. 12 mln zł), a którego finałem będzie Sopot (koszt ok. 8 mln zł). Główni Księgowi już zaczynają się martwić skąd wziąć brakujące miliony na pokrycie deficytu. Festiwalowe lato zapowiada się gorące, a rozrywkowa pustynia zaludni się idolkami i idolami, profesjonalistami i amatorami: zawodowcami o poziomie amatorów i amatorami o poziomie zawodowców. Zjada się również dyrektorzy „Polskich Nagrań”, „Pagartu”, Estrad, (szyje sobie nową marynarkę), ZPR-ów, przedstawiciele resortu, tłum dziennikarzy prasy, radia i telewizji i cały ten tasemiec rozrywkowy. Kolo się zamknie. Kwadratowe zreszta. W 1893 r. E. Lindemann udowodnił, że kwadratowa kolo jest przy pomocy linijki i cyrkiła niewykonalna. Być może „złoty rączkom” od rozrywki uda się tę festiwalową kwadratową kolo wykreślić przy pomocy agrafki (linijka i cyrkiel są limitowane, a od osób prywatnych nabywać nie można).

kontynuowałem dalej. A nie — refleksyjnie zakończył rozmowę — twierdzą, że aparaty nagłaśniające nie dadzą, a zawał to nie ich resort tylko Ministerstwa Zdrowia.

ANDRZEJ JÓZWIAK
SEX
i ROZRYWKĄ

W sprawie rozrywki zaangażowano w zasadzie wszystkie dziedziny nauk szczegółowych: psychologie, muzykologię, socjologię, etykę, estetykę, ontologię (metafizykę w tradycyjnym sensie) i wyjątkiem jednej: LOGIKI. Blaise Pascal — matematyk i filozof — proponował w swoich słynnych „Myślach” (1670 r.) zasadę rozdzielania między „porządek rozum” a „porządek serca”. Doc. mgr Z. Dolny — mniej znany polski matematyk, hydraulik i filozof — amator — stwierdził spekulacyjnie w oparciu o interpretację wyników badań szczegółowych-Pascala, że „w Rozrywce jest serce, nie ma rozum, a o porządku to już lepiej nie mówić”. Oczywiście miał na myśli organizację rozrywki, czyli tzw. show-business. Bardzo to ciekawa postać — ten docent.

leon w uznaniu jego zasług nadał mu zresztą tytuł „Comte de l'Empire”. Sprawa mgr Z. Dolnego i jego pracy stała się na tyle głośna, iż odbierając mu doktorat w zamian na otarcie lez mianoowano go docentem. Doc. mgr Z. Dolny twierdzi, że magister też w zasadzie został przypadkowo. Jego rubinowusta i rubensowolusta żona w chwilach (dość częstych) sprzeczek, po wyczerpaniu wszelkich argumentów krzyчала do niego (latem przy otwartym oknie, a zimą przy otwartych drzwiach frontowych), TY TECHNIKU, TY TECHNIKU! Z kronikarskiego obojętności dodam, że żona Z. Dolnego kończyła Liceum Muzyczne i stała też małżonką nie mogła być się zrewanżować okrzykami typu: ty absolutny liceum muzyczne-go, bo byłoby to wręcz śmieszne.

Doc. mgr Z. Dolny, napisał prace doktorską „Równania różniczkowe opisujące ruch układu mechanicznego bez wierzów lub o wierzach dwustronnych” i tym samym wymalował tak zwane „równania ruchu i w ten sposób został... docentem. Nie wierzyłem w możliwość takiej kariery? Bo nie znałem jej mechanizmu. Odtąd jego praca doktorska została anulowana ponieważ okazało się, że już w XVIII wieku problem ten dokładnie zbadał i ostatecznie rozwiązał Joseph Louis de Lagrange słynny francuski matematyk i mechanik teoretyk. Czesarz Napo-

Technik Z. Dolny zawział się w sobie, skończył wieczorowe studia na złość swej kobiecie i żona nie mogła już mieć ostatniego słowa w kłótniach, bowiem; TY MAGISTRZE, TY MAGISTRZE nie ma już tak pejoratywnego odzwźwięku, jak „Ty techniku!” Ale od ram festiwalowy sezon to również raj dla krawcowych. Nie wiem co szyją sobie panie: Si-pińska, Sośnicka, Kunicka, Jarocka, Jantar, Santor, German, Przybylska, Rodowicz, ale sądzę, że cokolwiek szyją, to nie robią tego same. Mówię oczywiście o sukniach, a nie o butach. Mój przyjaciel mawiał, że na estradach festiwalowych królują dwa modele sukni; zdesekszualizowany (długa suknia bez dekolotu) i usekualizowany (suknia typu prawie „wszystko na wierzchu”). Przez słowo „prawie” należy rozumieć, że kiedy — ze zrozumiałych względów — nie można eksponować bioder, piersi, ud, pośladków, wówczas eksponuje się to co jest najładniejsze np. kolana. WSZYSTKO PRZEMIJA, KOLANA ZOSTAJĄ, jak głosi reklama glamorous girl (przepyszna dziewczyna).

Zresztą mówiąc szczerze na erotyzmie się nie znam — tylko tyle cę koleżdy czasem opowiedzą — ale czytając opasłe tomisko erotycznej wiedzy małżeńskej H. A. Bowmana „Marriage for Moderns” przeczytałem takie zdanie o wstrzemięźliwości seksualnej: Nikt naprawdę rozsądny nie podpala katedry dla usmażenia jajecznicy nawet gdy jest bardzo głodny.

Agrafka się rozpięła, a Agencja Artystyczna „Pagart” się wypięła tworząc swoją „agencję” w Nowym Jorku. „Działal” to podobno na zasadzie spółki polsko-amerykańskiej. Słowo „działal” napisałem w cudzysłowie, bo inaczej o tej absurdalnej koncepcji pisać nie można. Dzięki „Pagartowi” stajemy się mocarstwem, opanowaliśmy już USA (filia w Nowym Jorku), RFN (filia w Kolonii), Wielką Brytanię (filia w Londynie) i nie zdziwi się kiedy otworzymy delegaturę w Pekinie. Stajemy się współczesnymi Kolumbami... absurd. Do tego tematu jeszcze wróce, aby na tym przykładzie, wszystkich, którzy uważają, że nie jesteśmy bogactwem intelektualnym, szobizmów i zwichnięć psychicznych.

PLONA KATEDRY, ale jajecznicę nam nie smakuje. Smaczne-go!



Foto: Archiwum

JACEK SAWASZKIEWICZ
WIOSNA

Którejś nocy, równo z wybiciem godziny dwudziestej czwartej, obudziłem mnie walenie do drzwi. Póprzynotomny zwłokiem się z łóżka i pochlapiłem na korytarz. — Kto tam? — spytałem, nie przejmając ziewać. Na klacie schodowej rozległo się wpraw kilka sapnięć, a potem głęboki baryton oznajmił: — Wiosna. Otwieraj mi drzwi! — Na wszelki wypadek wykonałem polecenie. Do mieszkania wyczoł się blisko dwumetrowy osobnik o budowie gladiatora. Bez pytania usiadł w moim ulubionym fotelu. Zawsze sądziłem, że wiosna, jeżeli już musi, wzięła się w porządku kobiety, dlatego podzieliłem się wątpliwościami z przybyszem. Machnął ręką i oświadczył, że córka jest ostatnio niedyspolicowana, więc on przyszedł niejako w zastępstwie. Pojem rozejrzał się dookoła i wrzasnął zdumiony: — Co to ma znaczyć, jasna gwineo! Okna nie umyte, firany brudne, meble zakurzone! To jak się wita wiosnę? — Zawstydzony, czym przedź wziąłem się do wiosennych porządków. Wypolerowałem szczyby, powiesiłem nowe zasłonki, wyczyściłem pokój. Gdy o plakat rano skończyłem robotę, gościła już nie było. Razem z nim zniknęły wierzchnie ubiory wszystkich domowników. Gość zostawił tylko swoją wizytówkę z napisem: „Waldemar Wiosna. Handel konfekcją zimową”.

JAMES LAST

Nazwano go „Beatlesem bantuty” (Sunday Mirror) i „Dłoha mi sukcesu” (Hamburger Abendblatt), a jego muzyka powoduje „drżenie w sercach kobiet” (Listen Easy) podczas gdy on sam „prowadzi orkiestrę, jak Porsche’a” (Melody Maker). Urodzony w Bremie, James Last swoją karierę muzyczną rozpoczął mając szesnaście lat. W 1943 roku wstąpił na Akademię Muzyczną w Buckeburgu, gdzie rozpoczął studia w klasie swojego ulubionego instrumentu — kontrabas. W okresie powojennym, jak wielu innych niemieckich muzyków, występował w klubach wojskowych. Wkrótce potem został zatrud-

niiony jako kontrabasista w Orkiestrze Tancernej Radia Bremen, grając jednocześnie we własnym zespole jazzowym. Przełom w jego karierze nastąpił, gdy podpisał kontrakt z wytwórnią „Polydor” i zaczął pracować jako muzyk orkiestr radiowych i studyjnych. W okresie od 1950 do 1952 roku jego nazwisko widniało na pierwszym miejscu w plebiscycie jazzowym na najlepszego kontrabasistę Niemiec, co jest dowodem, że był wówczas uważany za mistrza w tej dziedzinie. Będąc instrumentalistą stał się wkrótce również aranżerem. Już w 1950 r. zwrócił na sie-

bie uwagę takich gwiazd jak Caterina Valente i Helmut Zacharias, dla których okazał się dużym odkryciem w dziedzinie aranżacji. Pracował dla wielkich wytwórni płytowych, ale któregoś dnia doszedł do wniosku, że coraz częściej zaczyna myśleć o zrobieniu indywidualnej kariery. Pamiętał doskonale doprowadzone do perfekcji, a przy tym niezwykle proste wykonania utworów Mozarta i dlatego przede wszystkim zainteresował się muzyką nieskomplikowaną w myśl maksymy mówiącej, że „muzyka powinna być rozrywką”. Silne, rytmiczne uderzenie jest podstawą brzmienia orkiestry dętej, chóru i bogatej gamy instrumentów strunowych, które od czasu ostatniego tournée Jamesa Lasta po Wielkiej Brytanii, weszły w skład jego zespołu. James Last stosuje je nie tylko wykonując popularne utwory i przeboje,

ale również własne opracowania muzyki klasycznej. Wszyscy, którzy nazywają to protanacją dzieł sztuki, powinni pamiętać, że również Bach, Schubert, Beethoven i inni klasyki pisali muzykę popularną i taneczną. Od momentu wydania swojego pierwszego longplaya „Non-Stop Dancing” w 1965 roku, muzyka Lasta zyskała miano międzynarodowej. W 1967 roku jego cztery longplaye znajdowały się na brytyjskich listach przebojów, a od 1968 r. jego orkiestra była co roku uznawana za najlepszą w Republice Federalnej Niemiec. Dowodem tego, jak atrakcyjna jest jego muzyka, jest wielka liczba innych muzyków, którzy próbowali naśladować jego styl. Poczynając od wielkiego sukcesu, jaki osiągnęła seria nagrań „Non-Stop Dancing” aż po jego ostatni album „Beach Party”, od wydania longplay-

ów z piosenkami w stylu folk i „a go-go” aż po wydanie „Classics” — wszystko potrafił zadowolić nawet wybrednych odbiorców muzyki. 48-letni muzyk jest również kompozytorem utworu „Games That Lovers Play”, który był wielkim międzynarodowym przebojem w 1966 roku. Napisał także utwór „Happy Hearts” wykonywany przez prawie wszystkie wielkie gwiazdy piosenki. Skomponował „Fool” dla Elvisy Presleya, „Music From Across the Way” dla Andy Williamsa, a za „When the Snow Is On the Roses” otrzymał Nagrodę Muzyki w stylu country ASCAP w 1973 roku. Nie można również nie wspomnieć o „Happy Luxembourg”, który był sygnałem wywoławczym najpopularniejszej stacji radiowej niemieckiej strefy językowej w Europie w okresie ostatnich kilku lat. Nazwisko Jamesa Lasta ko-

jarzy się na całym świecie z obrazem wspaniałego widowiska muzycznego. Muzyka, którą uprawia sprawia, że stał się on jednym z najpopularniejszych liderów zespołów muzycznych. Miliony nagrań płytowych tej orkiestry znanych jest na całym świecie. I więcej niż milion osób miało szansę bezpośredniej konfrontacji z tym zespołem w czasie jego rozlicznych tournée m. in. po Wielkiej Brytanii, Australii, Nowej Zelandii, Japonii, Kanadzie i Związku Radzieckim. W tym roku, z okazji organizowanych w Gdańsku — „Dni Hamburga”, James Last ze swoją orkiestrą wystąpi w ostatnich dniach maja po raz pierwszy w Polsce.

S.W.

WYPISY ŁÓDZKIE

(6)

TADEUSZ NOWACKI

Łódzka rodzina w 1939 roku

Ulica a właściwie uliczka A w Łodzi jest kamieniem wawozem, którego ściany stanowią trzytętnowe kamienie o frontonach blaskich, jednostajnych, dość donurzych. Ulica w przytłaczającej większości zamieszkała jest przez rodziny robotnicze i oznacza się tym, że mimo swej krótkości posiada nieprawdopodobnie wielką ilość dzieci. Znajdują się tu dwie szkoły powszechne; meśka i żeńska, mnóstwo sklepów spożywczych, dwa galanterijne, kilku fryzjerów, handel wónek i mała miedzarnia.

W okresie niemowlactwa dziecka matka ma urlop z pracy lub też przestaje czasowo pracować, poświęcając zresztą niemowlęciu niewiele czasu. Kobieta, w której niemowlę się znajduje, jest przedmiotem nikłej troskliwości uwagi, aczkolwiek podstawowe wymagania dziecka są zadowalane. Ze jednak opieką ta nie jest dostateczna, świadczy zgon niemowląt, wprawdzie nie nagminne, jednak w ciągu sześciomiesięcznej obserwacji byłem świadkiem pogrzebu niemowlęcia, a na ul. A wypadki zgonów niemowląt nie należą do rzadkości. Pod koniec karmienia matka

wraca do pracy w fabryce. Czasem zabiera dziecko ze sobą odając je na czas zajęć do żłobka fabrycznego, a czasem zostawia niemowlę u sąsiadki. W tym drugim wypadku dziecko jest karmione sztucznie.

Kiedy mija okres karmienia niemowlęcia dziecko najczęściej bywa zostawione u niepracującej sąsiadki, a później nieradko zamknięte w domu, gdzie spędza długie, samotne godziny. W tym ostatnim wypadku matka zostawia klucz od mieszkania sąsiadce i ta od czasu do czasu zagląda dla zobaczenia czy dziecko czegoś nie potrzebuje. W okresie gdy dziecko przejawia już pewną ruchliwość, bywa przywiązywane do nogi łóżka lub stołu. Jedyna rozrywka w korowodzie niż takiego dziecka jest wówczas niedziela, kiedy rodzice poświęcają mu więcej czasu i zajęcia i wówczas też zaobserwować można żywe objawy miłości rodzicielskiej. Gorsza jest sobota, gdyż niektórzy ojcowie wracają do domu „po fajrancie”, podchmieleni, albo też urządzają przyjęcie w domu.

W niedziele niektóre matki idą z dziećmi do parków miejskich, gdzie dziecko ma sposobność odczucia nieco świeżym powietrzem, a delikatna skóra zapoznaje się ze słońcem. Pierwsze bowiem lata dziecięce poza innymi niedzielnymi wypadkami robotnymi zresztą nie przez wszystkie matki, upływają w czterech ścianach izby mieszkalnej. Zostawienie dziecka u sąsiadki

na czas pracy matki jest lepszą alternatywą niż kilkogodzinna samotność w domu. Zazwyczaj zostawia się dziecko u sąsiadki, posiadającej również dzieci, aby nie miała ona z opieką oddzielnego kłopotu. Dziecko spotyka pierwszych poza ewentualnym rodzicem towarzyszy, z którymi bawi się niewymyślnymi zabawkami: szpula od przędzy, kawałkiem drzewa, guzikami itp. Przebiegi tych zabaw iak i same zabawy są typowe i zgodne z przedstawieniem Charlotty Buchler*) mimo, że dzieci nie posiadają skomplikowanych i droższych zabawek.

Rodzina i dom w pierwszych trzech latach nie dają dziecku ani żywych podnień ani troskliwości opieki. Opieka i wychowanie domowe stoją na bardzo niskim szczeblu, tak, że dzieci słabo mówią i odróżniają się niekorzystnie od swoich rówieśników z „wyższych warstw społecznych”.

Kiedy dziecko posiada dostateczną sprawność, aby samodzielnie poruszać się po schodach, matka zostawia je zwykle na czas swej pracy na podwórku, zamykając mieszkanie na klucz, aby dziecko nie mogło spowodować żadnego wypadku. Uproszona sąsiadka ma wówczas nadzór nad dzieckiem. W dni letnie zwykle kilka kobiet siedzi na cementowanym wejściu do suteren zajmując się bądź obmawianiem bliźnich, bądź robotkami ręcznymi, bądź też jednym i drugim. One sprawują opiekę nad małymi dziećmi, pilnując aby im się nic złego

nie stało. Poza tym uproszona sąsiadka dba tyle o powierzono jej opiece dziecko, że karmi je od czasu do czasu, a gdy jest pogodna, zabiera do swego mieszkania.

Z narastaniem siły fizycznej i sprawności dziecka słabnie coraz więcej sprawowana nad nim opieka sąsiadki, aż przychodzi moment, gdy nikt się już o dziecko w czasie zajęć matki nie troszczy i chowa się ono dostojnie na ulicy.

Nie można całkowicie winy za ten stan składać na rodziców. Duża część winy ponoszą teżże poza możliwościami oddziaływania rodziców warunki bytu robotnika, związane z kulturą materialną społeczeństwa, a częściowo z jego stanem moralnym. Zwykle dopiero po skończeniu szkoły powszechnej dziecko zaczyna interesować rodziców jako siła robocza a więc nowy pomocnik w zdobywaniu środków utrzymania. Czasem dzieje się to już w szkole powszechnej i wówczas dziecko kolportuje gazety, lub ma jakies inne, stosowne do swych sił zajęcia. Po szkole z reguły jest ono już wykorzystywane. W rodzinach robotniczych stale, odznaczających się wyraźną postawą moralną, młodociany współpracuje wtedy poważnie z rodzicami pomnażając dochody rodziny. W rodzinach o mniej wyraźnej zarysowanej moralności, dziecko wykrecza się wszelkimi sposobami od oddawania zarobków, używając je na osobiste przyjemności.

Jednym z największych braków wychowania dziecka robotniczego są okropne warunki opieki fizycznej. Blyna ona już prawie wyłącznie z niedostatków, z materialnej słabości rodziców. Dlatego prawdziwie i jedynie rozwiązanie problemów wychowawczych dziecka robotniczego zagadnień gospodarczych, w zmianie warunków bytu pracowników fizycznych. Dopiero z maiana w a r u n k ó w e k o n o m i c z n y c h (podkreślenie moje H. Rud.) warstwy robotniczej sprawić może, że dziecko nie będzie ciężarem i przekleństwem i nie będzie traktowane jako jedna więcej „Geba do misiek” ale stanowić będzie istotną radość rodziców.

Wybrał: HENRYK RUDNICKI

Tadeusz Nowacki: Rozwój świadomości społecznej u dzieci i młodzieży warstwy robotniczej Łodzi. Wydawnictwo Towarzystwa Polonistów R.P., oddziału w Łodzi, rok 1939. Skład główny w księgarni S. Seipelt w Łodzi. *) Charlotta Bühler: „Dzieciństwo i młodość”. Warszawa 1933.